

Biblioteka
Instytutu Badań
Literackich PAN

P. II. 428

NURT

PISMO POSWIECONE KULTURZE POLSKIEJ

...
ykę. By
o. Dety



NR VI

LISTOPAD — GRUDZIEN

1943

T R E Ś Ć :

1. OKRUCIEŃSTWO
2. DZIEWCZYNA Z QUATROCENTA (Wiersz)
3. INDYWIDUALIZM MOŚCI SPODKÓW
4. W GRUDNIOWY DZIEŃ
5. KOLENDA
6. „TEATR OGROMNY”
7. SPOJRZENIA:
 - a) Dożynki
 - b) Dynamizacja zwyczajności
 - c) Żydzi i Polacy
 - d) Katyń
 - e) Słowa z za morza
 - f) Propaganda kultury



O K R U C I E Ń S T W O

Niedługo przed wojną ukazała się w Polsce książka, niezmiernie znamienna, nietyle przez swą formę i treść, ile przez podjętą w niej problematykę. Był nią: Sybir bez przekleństw M. Lepeckiego. Były adjutant Marszałka, udawał się, już po jego śmierci, na Syberię, aby zebrać pozostałe jeszcze ślady po wielkim wygnańcu. Przy sposobności przyjrzał się przystawionej ziemi cierpienia i łez. Wrażenie, jakie odniósł było pocieszające. Sybir nie wydawał mu się już ziemią przeklętą. Złowroga jego przeszłość odchodziła w zapomnienie. Tylko kilka nagrobków powstańczych świadczyło, że kiedyś marło tu tysiące ludzi, skazanych na dożywnie wygnanie. Katargę w Akatuju ujrzał zamienioną na zwykłą kopalnię. Nigdzie nie słyszał brzęku kajdan, ani posępnych pieśni więziennych. Znikły z dróg katorżne bradiagi. Stara, bolesna legendę o okrutnych dziejach tej ziemi potraktował też z pewnym uśmiechem pobłażliwie współczującym, jako coś, co może kiedyś i było, co jednak należy już do niepewnej przeszłości. Podobne wrażenie uczyniły nań i bliższe nam wspomnienia bolszewickiej rewolucji. Kraj, który przemierzał, już się wydobył z krwawych i koszmarnych dni. Zaprzątnięty pracą, szedł ku spokojnej i twórczej przyszłości.

Sybir bez przekleństw. Mógł się mylić i chyba mylił się łatwowierny podróżnik z Polski lecz razem z nim myliliśmy się i my wszyscy. Nietylko Sybir ale i świat cały oczyszczał się w wyobraźni naszej z przekleństw przeszłości. Gdzieś, w głębo-... już niepamięć odchodziła niewola, wraz z upiarami więzień, szubienic i zsyłek. Bładło i łagodniało krwawe wspomnienie rewolucji bolszewickiej. Wracało „normalne” życie. Wrażenia nasze przenosiłyśmy na cały świat. Jeżeli jakiś naród ma przeszłość szczególnie bolesną, nie zna miary w optymizmie, gdy nastaną lepsze dzieje. Nikt więc może w Europie nie wierzył w „kulturę” tak naiwnie i szczerze, jak my. Nowoczesność znaczyła dla nas tyle, co wyzwolenie się z przekleństw przeszłości, — przyszłość tyle, co dalszy rozwój humanitarnych idei.

Plamy, jakie ukazywały się na szlachetniejszą obliczu świata, nie niepokoiły nas zbyt. Rozprawy toczone się w Rosji brałyśmy za ostatnie, dogasające echa rewolucyjnych przewrotów. Pojawienie się faszystów i hitlerystów byliśmy gotowi tłomaczyć, jako zjawisko nowoczesnej własnie, odkrawionej i poskromionej psychicznie re-

wolucji. Kuszące hasła rycerskości i braterstwa wywieszane na ich sztandarach utwierdzały nas w tym mniemaniu. Wybuch namiętności, towarzyszący wojnie domowej w Hiszpanii, zrozumieliśmy raczej jako terytorialną osobliwość Południa. Od czasu do czasu uderzały nas nowe niejako wynalazki w dziedzinie udręczenia człowieka... Obozy koncentracyjne... Co o nich myśleć, nie wiedzieliśmy, gdyż trudno jakoś było dociec całej o nich prawdy. Nazywały się obozami pracy. Praca była pozytywnym hasłem, niemal ideałem naszych dni...

Być może, że owa wiara w nadchodzący świat bez przekleństw spowodowała także i nasze niedowierzanie w możliwość drugiej światowej wojny. Skoro jednak wybuchła ruszyliśmy na nią z dobrą wiarą w rycerską grę. Krótka i gwałtowna rozprawa dała nam, jak to się mówi, „do myślenia”, Sojusze nasze zawiodły. Rosja związana z nami paktem o nieagresji uderzyła zdradziecko w nasze plecy. Przeciwnik zaś główny, Niemcy, który z rycerskości uczynił program, nie oszczędził nam żadnej formy bezwzględnej brutalności. Szły z dymem chaty i wieś, niezawsze na szlaku bitew, ginęły po drogach i bezdrożach ludzie cywilni, huczały po miastach i miasteczkach egzekucje. Zwycięskiemu pochodowi Niemców towarzyszyła dotkliwa obelga i pogarda dla pobitych. Spłonęły co sławetniejsze i drogie naszemu sercu domy Warszawy.

Lecz... wojna jest wojna. Naród tak do niej przygotowany i trzymany w napięciu a potem spuszczonej ze smyczy i rozogniony znakomitymi środkami propagandy, okłamywany wieścią o rzeziach, dokonanych na jego „niewinnych” rodakach, mógł ulec szaleństwu, tymbardziej, że już we krwi nosił szal znany jeszcze rzymianom, jako furore teutonicus. Nie należało zatem tracić wiary i... czekać. Wiadomości o wypadkach, po drugiej stronie, gdzie od Wschodu wkraczał na nasze ziemie arcy-mistrz terroru i autor niejako nowoczesnych form okrucieństwa, dodawały pewnej otuchy. Owszem, bolszewicy poczynali sobie wcale po ludzku. Bez trybunałów, bez steńki, bez zsyłek, bez pomiatania tym co było drogie i bliskie naszemu sercu. Przyszli, stwierdzono, jednak jakąś ewolucję...

Doprawdy, była w tej wojnie taka chwila, takich kilkadziesiąt dni w 1939 roku, że jeszcze można było utrzymać całą zdobytą wiarę w ludzkość, nawet u nas, w zdruzgotanej Polsce. Więcej nawet, można było zacząć rozmowy o świecie, lep-



szym i doskonalszym, niż był. Wojna otworzyła i poruszyła sumienia. Nawet najlepsi czuli się winni za to co zaszło i byli skłonni myśleć o poprawie złego. I wówczas właśnie, kiedy świat stanął przed generalną próbą, jak dalece pozbył się czarnych plam, ciążyących na jego historii, wypelzł z ukrycia gad okrucieństwa, pielęgnowany starannie przez długie lata, silny, jak nigdy, wygłodzony oczekiwaniem, mądry i przebiegły pełen uczoności i wiedzy, znający na wskroś człowieka i wszelkie jego słabości. Rzucił się odrazu, bez namysłu na najłatwiejszą zdobycz, na Polskę. Z dwu stron, od Wschodu i Zachodu.

Ogarnął spustoszenia, jakie uczynił jeszcze nie sposób. Być może nawet, że dzieło jego nie będzie nigdy w całości opisane, tyle w nim nieprawdopodobieństwa. Pewne jest natomiast, że wszystkie dosłownie nasze pojęcia, urabiane w ciągu wieków o najskromniejszych, nietykalnych prawach człowieka zostały przezeń pogwałcone, więcej nawet, bo właściwie strątowane i przekreślone. Stało się tak, jakgdyby pewnego dnia wszystkie kodeksy moralne, pisane i niepisane, zaprzysiężone czy przyjęte na wiarę, wyrzucono poprostu przez okno. Oskarżony człowiek stracił prawo do obrony i nawet do wyroku, skazany do ostatniej pociechy, zabity do pogrzebu i kawałka ziemi na cmentarzu. Cnota i szlachetność nie broniła przed spługawieniem, zasługa przed pięścią chama, bohaterstwo nie mogło liczyć na poszanowanie. Skazani na śmierć musieli sobie sami kopać grób, patrzeć na śmierć innych lub przed śmiercią zaciągnąć współskazańcom stryczek na szyji. Psy tresowano na żywych ludziach. Żołnierz, który złożył broń nie miał jeszcze prawa liczyć, iż nie dostanie niespodzianie i zdradziecko kulę w tył głowy. Kobiety i dzieci wydarte z domostw puszczone w zamkniętych wagonach na ślepe tory, gdzie ginęły z mrozu i głodu. Miliony ludzi strawiono głodem, zimnem, gazem, nadmierną pracą. Nie było w świecie metod równie wspaniałych, wyrachowanych i oszczędnych w szafowaniu energią, konieczną do wywołania zniszczenia. Jeżeli na wojnie, jak powiadają, na tysiąc kul jedna trafia człowieka, tu potrafiono zgubić tysiąc ludzi, używszy jednej kuli. Bezbronność była tylko gładem dla tym większego okrucieństwa.

Jak się stało i stać mogło? Czy nam się tylko zdawało, że żyliśmy wśród ludzi? Czy prawdy, które stanowiły o naszym życiu były pozbawione sensu? Czy może mieliśmy cierpieć za jakieś nasze winy? Czy nadchodziły wreszcie jakieś nowe, przeoczone przez nas czasy? ...

Istnieje legenda o krwi, która przelana, choćby niewinnie, umywa i oczyszcza. Kiedy się leje milczą ludzkie prawa, gdyż do głosu dochodzi inna, obliczona na dłuższą metę, „dziejowa” sprawiedliwość. Każda niemal nowowstępująca era zostawia nam w wstępie chór ludzkich skarg, służnych nieraz a bezskutecznych. Nawet kościół chrześcijański, tak bardzo polegający na sprawiedliwości boskiej jako kierowniczej sile dziejów, zostawia niezafatwionym krywdom ludzkim instancję w ostatecznym sądzie.

A jednak każdy z nas czuje i wie, że to narasta dokoła nas, co się czaiło przygotowane za naszymi plecami nie może tym razem pozostać bez rozrachunku, inaczej na świecie musiałyby zapano-

wać mrok i głuchota a złowrogość naszych dni musiałyby rozszerzyć się na los całych pokoleń.

Spróbujmy więc zbliżyć się do tego zagadnienia i zastanowić się na czym polega jego istota. Okrucieństwo leży w naturze człowieka. Wyraża się, z grubsza rzecz biorąc dwojako. W obojętności na ludzkie cierpienia i chęci zadawania czy powiększania cierpień. Jeden i drugi rodzaj okrucieństwa występuje albo oddzielnie albo wspólnie, albo wreszcie w rozmaitych kombinacjach wzajemnych. Jak Zachód Zachodem uważane było okrucieństwo za cechę człowieka prymitywnego. Okrucieństwo bierne upatrywano we Wschodzie, czynne w tym całym obszarze świata, który zaludniali „dzicy”. Cechą kultury zachodniej, zwłaszcza w jej ostatnim, „oświeconym” okresie była stopniowa i stanowcza emancypacja człowieka od okrucieństwa. Połowa, rzecz można, siły moralnej w podboju Ameryki Północnej, Afryki czy Oceanji przez człowieka białego, polegała na poskramianiu okrucieństwa. Dla tego a nie dla czego innego Robinson Kruzoze stał się lekturą całego świata a razem z nim podbijali serca pokoleń i bohaterzy autentyczni jak Livingstone, Stanley, Gordon i inni.

Dla oduczania okrucieństwa, pojętego jako pierwotna namiętność człowieka, ustalono prawa formalne, obyczajowe i towarzyskie, które miały być wdrożone ludzkości przez wychowanie i oświecenie. Oddziaływanie ich na człowieka w ciągu wieków cywilizacji osiągnęło zamierzony cel. Człowiek, jak go nazywaliśmy, „cywilizowany” czy „kulturalny” odznaczał się tym, że nie był już poprostu zdolny do okrucieństwa i czuł do niego wstręt i pogardę. Rozszerzając i uzupełniając zasadnicze prawa stworzył obok nich cały świat pojęć, przepisów i postanowień, niezmiernie nieraz złożonych i wysublimowanych, którymi otoczył opieką kobietę, dziecko, starców i słabszych od siebie i upośledzonych, nawet rośliny i zwierzęta — ustalił sposób prowadzenia sporów i walk i wznosił koniec końców ludzkość na wyżyny, jakich nie znał dotychczas świat. Jednego tylko nie przewidział: bariery jakie wznosił dla jednostki nie potrafiły objąć nowych kategorii moralnych, pojawiających się w XX wieku, jako następstwo kolektywnych instynktów i namiętności. Wygnane z indywidualnego ludzkiego, okrucieństwo miało powrócić i to w pomnożonej, świadomej i przemyślanej formie poprzez interesy zbiorowisk, tym razem już nie w „dzikich” krajach, lecz w samym sercu cywilizacji — na Zachodzie.

Jako pierwszy wielki przejaw okrucieństwa zbiorowego wstępującego na arenę dziejów uważa się rewolucję francuską. Być może. Interes paryskiego ludu, przed którym padały wszelkie szranki moralne, uważane dotychczas za obowiązujące, stanowiął rzeczywiście objawienie jakichś nowych i groźnych czasów, które miały nastąpić.

Ale rewolucja francuska choć krwawa, bezwzględna i straszna, nie przekazała okrucieństwa, jako wzoru dla następnych pokoleń. I nie usankcjonowała go. Przeciwnie. Po krótkim okresie rozpraw, zapoczątkowała erą najwyższych w swym humanitaryzmie wlotów cywilizacji.

Data, od której okrucieństwo staje się znowu stałym, choć dłuższy czas utajonym tylko problemem naszego życia jest dopiero rewolucja rosyj-

ska. Wszystkie nowoczesne zasady zadawania cierpień człowiekowi pochodzą od niej. Interes klas, pojęty jako główny czynnik dziejów — zrodził hasło odpowiedzialności zbiorowej, czyli karalność za przewinienie nie jego bezpośredniego sprawcę ale całe środowisko, chociażby tylko istnieniem swoim inspirowało zbrodnię. Wyższość moralna jednej klasy nad drugą stworzyła możliwość różnego wymiaru kary za tą samą rzecz, zależnie od środowiska z którego człowiek pochodził. Te dwie kardynalne zasady stanowiły podwalinę pod wszystko co się miało dalej rozwinąć. Sankcję prawną dla obu dał pierwszy artykuł konstytucji sowieckiej, głoszący, że prawo jest organem walki klas. Zdaniem tym nietylko odebrano prawo jego niezależność, jaką posiadało w świecie zachodnim, wywodząc się od Boskich przykazań, ale jednocześnie uczyniono z niego coś płynnego, taktycznego, dowolnego, jak właśnie sama walka. Rzecz jasna przecież, że natężenie walki musiało oddziaływać na stopień srogości z jakim miał być stosowany wymiar „sprawiedliwości”. W ten sposób człowiek — kolektyw wykonywujący prawo, choć niby podlegający całkowicie kontroli środowiska, otrzymywał swobodę decyzji nad losem ludzkim, niemal, że anarchiczną. Rzecz też podjął i doprowadził do wyższej jeszcze absurdalności hitleryzm w swoim systemie wodzowskim.

Niemcy, choć może dziś ich właśnie a nie Rosję należałoby uważać za mistrzów okrucieństwa, nie wiele już zmieniły w tym zasadniczym układzie. Klasę zastąpiła tylko rasa. Bieg wypadków zwięził co prawda rasizm niemiecki do granic narodu niemieckiego — nie inaczej jednak stało się w Rosji, gdzie interes klasy robotniczej sprowadza się faktycznie do interesu robotników rosyjskich, lub ściślej rosyjskiej warstwy rządzącej.

Pomysłowość, gruntowność i uczoność Niemców spowodowała, że zasada zbiorowej odpowiedzialności oraz rozmaite karalności środowisk ludzkich, zależnie od przyznanej im wartości — została rozwinęta i „rozpracowana” z zastosowaniem całej nowoczesnej aparatury intelektualnej i technicznej. Istoty rzeczy jednak nie zmieniono. Jeżeli dziś na ulicach Warszawy rozstrzelują się 10-ciu a w rzeczywistości i więcej Polaków za jednego zabitego Niemca, to przyczyną tej koszarnej „sprawiedliwości” nie jest odruchowa, jakbyśmy to sobie wyobrażali, nienawiść do Polaków i chęć ich wytepienia, ale wbite we lby przekonanie, że wartość rasy niemieckiej przekracza co najmniej dziesięciokrotnie słowian i Polaków. Przypomnijmy sobie zresztą, że „odpłata” dokonana w Bydgoszczy, Poznańskiem czy Wawrze wyrażała się w dużo większym stosunku. Mało tego. W pierwszych latach wojny zapowiadał Führer niejednokrotnie, że za jednego zabitego Niemca odpowie głową tysiąc Anglików, Rosjan czy jakichkolwiek wrogów, którzy odważą się stanąć Niemcom w drodze ich misji dziejowej. Twardy los wojny obrócił w nieważność pogroźki, tam jednak, gdzie siły były tak nierówne jak w Polsce, „proporcjonalna” sprawiedliwość jeszcze szaleje.

Podobnie ma się rzecz i z zasadą odpowiedzialności zbiorowej. Nawet tak monstrualny mord, jak wytepienie kilku milionów bezbronnych i umęczonych uprzednio Żydów, nie mógłby nigdy dojść do skutku w tym „totalnym” zakresie, przy naj-

większej nawet dyspozycji do okrucieństwa narodu niemieckiego — gdyby nie stało za nim obwinienie narodu, właściwie już „rasy” żydowskiej, o złośliwe przeciwstawianie się rozwojowi Europy, która odradza się w rasizmie i narodowym socjalizmie niemieckim. Była to już maksymalna płaszczyzna odpowiedzialności zbiorowej, jaką widzieliśmy w nowoczesnych dziejach. Krępowana narazie rasizmem może być jednakże jutro przzerwzuciona i na inne narody, kto wie, może i na całe kontynenty. Słyszysz się przecież ciągle, że Anglia, jako „wyspa” stoi na przeszkodzie interesom kontynentu europejskiego. Szalenstwo, tak charakterystyczne dla obecnej mentalności niemieckiej, może spowodować i stworzenia dalszych jeszcze, głębszych płaszczyzn skazanych na zniszczenie. Cóż właściwie stoi na przeszkodzie, aby w razie potrzeby przetrzucić odpowiedzialność zbiorową na Afrykę, Azję czy Amerykę. Uzurpacja wyłącznej roli kierowniczej przez jeden naród czy jedną warstwę społeczną i to kierowaną przez jednego człowieka, prowadzić musi do absurdalnych problemów i konfliktów, rozwiązujących się w katastrofie.

Jeżeli zaś całe grupy społeczne i całe narody mają być „karane” — to, jasna rzecz, musi się to odbywać bez rozpraw, dochodzeń i wyroków. Rzeczywistość naszych czasów zetknęła nas co prawda z wielu zjawiskami, które uchodziły w wyobraźni za monstrualne — trybunały jednak historyczne, którzy mogli roztrząsać i oceniać, które narody zasługują na życie i w jakich granicach przywilejów i praw, nie sposób sobie, mimo wszystko wyobrazić. Najtrudniejszy przeto i najbardziej zawili wymiar sprawiedliwości przeprowadzany jest skrycie i zaocznie, a wyrok zapada decyzją jednego człowieka lub niewielkiej grupy ludzi. Świadomość, że decyzje takie nie mogą być nigdy obronione ani uzasadnione, powoduje również ciche, zdradzieckie ich wykonanie. Na tym a nie na czym innym polega „zagadka” masowego mordu w Katyniu. Na tym skrytobójczość systemu łepiocińskiego Niemiec. Nie oczekujmy nigdy od Rosji ani Niemiec wyjaśnienia co stało się z naszymi ludźmi, bo wyjaśnienia być nie może, prócz jednego: że tak, a nie inaczej, im się podobało.

To, co „zaimprovizował” Stalin w Katyniu a Hitler w swoich obozach koncentracyjnych — improwizują dalej na swoją rękę, rozmaici uzurpatorzy drobniejszego wymiaru. Masowy wymiar sprawiedliwości wymaga uproszczonych metod działania i redukuje możliwość kontroli. W czasie wojny sprowadza ją do minimum. Uzdolniony sadystycznie człowiek ma przeto przed sobą nieograniczone niemal pole do popisu. Poczucie, słuszne czy fałszywe, że służy wyższej sprawie i jest jej mandatariuszem, rozgrzesza go wobec samego siebie i daje alibi wobec otoczenia, nawet w razie jaskrawych nadużyć. Niekaralność katów, którzy się potknęli, jest przecież notorycznym zjawiskiem naszych dni. Przeniesienie na inne stanowisko lub poruczenie innych zadań stanowi maksimum kary, jaka może spotkać zbyt rozpasanego złoczyńcę.

Pozostaje jeszcze jedno pytanie, skąd biorą się ogromne i wciąż narastające zastępy ludzi zdolnych do wykonywania okrucieństw, skoro przecież całe pokolenia Zachodu składały się na to, aby wykształcić w człowieku wysoką humanitarną

wrażliwość i czułość? Odpowiedź nie jest łatwa. Wiele można przypisać charakterystycznym i wykastanym wielokrotnie w historii właściwościom germanów i wielkorusów. Wielka u jednych i drugich żądza panowania nad światem i podporządkowania sobie człowieka, bez żadnego poszanowania dla jego właściwości, wielkie poczucie misji historycznej, bez kształtu historycznej wielkoduszności, wiara w potęgę dyscypliny i knuta i pogarda dla dobrowolności — stwarzają niejako naturalne podłoże dla nadużycia siły wobec opornych, w chwili historycznej konjunktury. W czasach naszych, być może, sprzyjał przerostem okrucieństwa także i „duch czasu”, wydając specyficzne pokolenie, nietylko w Niemczech i Rosji, ale i całym świecie. O małej wierze w siebie i chwiejnej postawie moralnej, ale dziejów świadome i ambitne, pracowite i spragnione szybkiego i namacalnego efektu, w głębi ducha ironiczne i mało ceniące człowieka, nerwowo pobudliwe, przy słabej uczuciowości, skłonne przeto do przeceniania wartości mechanicznych życia, daje się łatwo organizować dokoła haseł agitujących wątlą wyobraźnię wizjami dożnej i szybko osiągalnej potęgi.

Najważniejszym jednak czynnikiem będzie wychowanie. Skutki jego, jeżeli spojrzeć na mentalność komsomołców czy hitlerowców są wręcz osłupiające. Jeżeli istniała wiara w dziedziczenie kultury, można ją uważać za przekreśloną. Niebezpieczeństwo tego odkrycia powinien świat zapamiętać sobie dobrze, jeżeli nie chce by dzieło cywilizacji zostało mu z rąk wyrwane. Każdy człowiek, okazuje się, może być wychowany, jakgdyby nie miał za sobą żadnej przeszłości moralnej. Jeżeli, mimo tego, nie każdy będzie zdolny do wykony-

wania zbrodni — przecież pogodzi się z nią i nie zdobędzie się na sprzeciw wewnętrzny, skoro nauczone go, że tak być powinno, bo tak wymaga wyższy interes warstwy, do której należy.

Urodziliśmy się niewątpliwie w czasach wielkiego moralnego i materialnego kryzysu. Czy rzeczywiście nastaje jakaś nowa epoka, wyjaśni dopiero przyszłość. Fakt, że dziś setki już milionów ludzi uważa się za jej pionierów i żołnierzy nie przesądza jeszcze sprawy, gdyż, jak dotąd, epoki nadchodziły w ciszy, nieświadome wielkości dzieła, które tworzą i oddane więcej sprawom twórczości, niż władzy nad światem.

Pewne jest wszakże i to, że stary nasz świat, wraz z jego poczciwością i niedbalstwem, subtelnościami maruderstwem w pokonywaniu trudności, z jego pojęciami o prawach człowieka, równie wysokimi, jak niewykonalnymi, świat potrafiący histeryzować się nad nieszczęściem jednostki a niezdolny zaradzić wielkim zbiorowym niedolom, będzie musiał wymagać głębokiego przeobrażenia. Wzmożona odpowiedzialność historyczna każdego pokolenia za dzieło kultury i cywilizacji, które stało mu przekazane, nie jest hasłem, które można odrzucić. Interes zbiorowy musi powołać do życia nowe zjawisko, które będzie zbiorowym sumieniem. Obawiać się go niema potrzeby — trzeba jednakże użyć wszystkich sił, aby tchnąć w nie tą samą treść humanistyczną, którą zdobyła sobie w XX wieku jednostka.

W dziełach jednak, które dziś dokonano tkwi głęboko zabity cień okrucieństwa. Jeżeli nie zostanie wyrwany, organizm ludzkości zatruje ropa niezałatwionych krzywd i bezkarnych zbrodni.

Henryk Balk

popęłił samobójstwo

w r. 1941 we Lwowie

DZIEWCZYNA Z QUATROCENTA

poranek konwaliowy
owinął się wokół twój głowy

chłodną wiosenną goryczą
krew zbledził ustom i licom

słońce włosów zaciemnił
przesiał przez cień i przez zieleń

oczy zamroczył łagodnie
by kwiatem nie trysły i ogniem

i ziemski z budował kościół
gdzie modlisz się przed swą młodością

INDYWIDUALIZM MOŚCI SPODKÓW

Nietylko Rosja, ten kraj teoretycznego bogocześnictwa i podczłowieka in practicis (tak było za Iwana Groźnego i tak jest za „demokratycznego” Stalina) jest krajem kontrastów i wewnętrznych sprzeczności. Kontrasty rysują brzdami oblicza wszystkich niemal narodów, które osiągnęły pewien dziejowy poziom, wśród nich i naszego; a że się tak dziwnie, choć niedziwnie, jakoś składa, że im bardziej na wschód, tym gra sprzeczności jaskrawsze i, rzeczy można, bardziej okrutne przybiera formy, to już nie sprawa samego tylko istnienia antynomii duchowych. Tylko nogrzebać trochę głębiej, tylko postawić naród jaś wobec wielkiego przełomu — niekoniecznie katastrofy; powodzenia są zazwyczaj bardziej jeszcze miarodajne — a przesłonięte przez woal codzienności, przeciwnością wstają z dna zbiorowej duszy, świadcząc, iż niema ludów - monolitów, tworów wykutych z jednej tylko bryły. Nawet najstarsze cywilizacje europejskie, jeśli tylko żywe, rozdzierają odwieczne nieraz antynomie, jak choćby ową Francję, gdzie galijski anarchizm w nieukojonym trwa sporze z tradycjami rzymskiego ładu, szczepionego na tej ziemi żelazną dłońią legionów Cezara, by w zależności od tego, co zdoła w danej chwili przeważać, objawić się to bohaterstwem Verdun, to sromem roku tysiąc dziewięćsetnego czterdziestego.

Niema narodów - monolitów, a jeśli są, to chyba jacyś Czuwasze, Kałmucy... Tam może wszystko składa się w monolit bezhistorycznego człowieka natury, który z jednego tylko pije źródła, będącego źródłem dziejowej niepamięci. Ale tam, gdzie źródła świadomości zbiorowej są rozliczne i wiele strumieni składa się na szeroki jej już w dolnym biegu nurt, tam jednolitość taka jest niemożliwością i istnieje tylko w umyślach urodzonych „syntetyków”. Nawet Anglia, ów klasyczny kraj „balance of powers”, stanowiącej może istotę tamtejszego ładu dziwnego demokratyzmu, gdyby ją, tą mer-

England, rozłożył chemicznie na pierwiastkowe składniki, ukazałoby się niezawodnie, że na jej pozorną i praktyczną monolitowość składają się przeciwności, których nawet nie próbuje maskować konstytucja tego kraju, utrzymując samowładczego teoretycznie króla obok najbardziej skrajnego i bynajmniej nie teoretycznego tylko ludowładztwa. Jenó bardzo pobieżnemu obserwatorowi wydawać się może, że magna charta liberatum określa całość życia angielskiego. Jan bez Ziemi nigdy w rzeczywistości nie abdykował i godnych znalazł następców, czyto w Henryku VIII, czy w Elżbiecie, która także umiała ścinać dumne łby wnuków tych, co na jej poprzedniku wielką kartę wymusili, czy wreszcie w pierwszym dyktatorze europejskim, Cromwellu. Ostrymi zygzakami „tyranii” i przytyłow ludowładztwa szła Anglia ku swej potędze, rozumiejąc a bardziej jeszcze wyczuwając, że, jak to już dawno powiedziano, „życie nie jest egzaminem konsekwencji”, w którą znów tak uparcie wierzą liczne rzesze naszych politykstrów. Dlatego Anglia była pierwszą w Eu-

ropie, co króla swego postawiła na szafocie, i pierwszą, która osadziła go potem na tronie tak niewzruszalnym, na jakim tylko bogowie zasiadać mogą, przemieniając, jak to słusznie zauważył André Maurois, osobę królewską — w mit społeczny. Oczywiście, nam, którzy wciąż jeszcze żyjemy czkawką po rewolucji francuskiej, wydawać się może i wydaje się to szczytem niekonsekwencji. My lubimy oglądać kontrasty w ich — nagosci. Lecz Anglik, który spotkałby się z takim zarzutem, odpowiedziałby zapewne, że niewątpliwie prawo kontrastu jest biologicznym prawem istnienia, ale że życie, jeśli wogóle jest z czegokolwiek egzaminem, to z czegoś bardziej skomplikowanego niż konsekwencja, mianowicie ze zdolności wiązania wody z ogniem, z umiejętności w ł a d a n i a sprzecznościami. Na tym bowiem polega cywilizacyjna niższość Rosji, iż ogień i woda istnieją tam jako dwa absolutnie przeciwstawne sobie, obok siebie bytujące i w żaden „zgnity kompromis” nie wchodzące ze sobą pierwiastki. I przez pół żartem, przez pół serio, dlatego to powiedzieć można, że nie w Rosji a w Anglii właśnie wynaleziono maszynę parową, która wywołała rewolucję większą od francuskiej, że tam, w Albionie, uwierzono w możliwość powiązania dwóch przeciwnych elementów, gdy dla umysłów prymitywnych istnieje przedział: „albo woda, albo ogień”, będący źródłem tyłu wschodnioeuropejskich radykalizmów. Nie kontrastowość bowiem, ale nieumiejętność wiązania kontrastów charakteryzuje przedewszystkim człowieka pierwotnego, upatrującego zresztą w tej niezdolności główny swój niemal atut życiowy, atut istoty „cywilizacją ludzką jeszcze niezsutej”, prawdziwie po „sławiańsku „szczerej” duszy, która w żadne tam „kłajstry” między wodą i ogniem nie wierzy i nie bawi się.

Że stosowanie tej wysokiej alchemii, jaką służy się zbiorowe bytowanie Albionu, jest nam obce, szczególnie gdy chodzi o życie polityczne, tego wyrazem jest niewątpliwie to, że prawo kontrastu pojmowane jest u nas w sposób bliski raczej wschodowi, jako dzika a nieunikniona gra przeciwności. Jedyną popularną formą sprowadzenia ich do wspólnego mianownika stanowił t.zw. „krakowski targ”, pachnący tak już konjunkturalnym „kłajstrem”, że trudno go zaliczyć do rzędu wyrównań na angielską miarę. Natomiast myśl o innym, niepomierne wyższym, choćby tylko doraźnym sprężnięciu (nie „kłajstrowaniu”) przeciwności przyswiewcała Piłsudskiemu po dniach majowych, społeczeństwo polskie tkwiło jednak zbyt głęboko w kulcie kontrastowości, by potrafiło było myśl tą podjąć, a choćby zrozumieć. Znadto buszowało nam we krwi liberum veto każdego na zagrodzie, nazbyt rozpiekał nas sobylepański indywidualizm, będący jakoby ens realissimum polskiej duszy, by zamiary Piłsudskiego dały się być w pełni urzeczywistnić, a jaskrawy targ kontrastów — choćby na czas tak tragiczny, jakim było minione dwudziestolecie, ocienione od samego początku groną nowej burzy dziejowej — zastąpić zdołała wy-

soka sztuka wiązania „ognia z wodą”. I ta sama groźba życia wszystkich Polaków na kształt, mówiąc sparafrazowanymi słowami poety, na swych słońcach przeciwnych sobie bogów, ta sama perspektywa sprowadzenia istnienia naszego do niestannego fajerwerku skłóconych przeciwieństw rzuca i dziś również cień na to, co myślimy i marzymy o nowej Polsce.

Niedarmo bo jesteśmy narodem indywidualistów. Przysięgamy na nasz rodzimy indywidualizm jak na Ewangelię i w nim upatrujemy źródło wszystkich cnót polskich. Niewątpliwie też i przywar, ale przywarę te otacza taka aureola, że zgóry się z nich rozgrzeszamy i oceniamy je pobłaźliwym jeśli już nie rozmiłowanym okiem. Pozwala nam to nie bez dumy mówić o bujnej kontrastowości polskiej psychiki i wszystkich rzeczy z niej biorących początek, a w dufności swej tak rozkładamy blaski i nędzę naszego indywidualizmu, że na jedną szalę wagi, odmierzającej jego ciężar gatunkowy, rzucamy wszystkie jego świetności — a raczej to, co za świetny jego twór poczytujemy, naszą prężność historyczną, naszą sztukę i tak dalej — na drugiej zaś wszystkie jego nieważne zdaniem naszym cienie, nieuchronne przecież, gdy się takiego dokonało dzieła. I bilans indywidualizmu polskiego leży jak na dłoni. Cóż mu zarzucić można, gdy wszystko, co w Polsce wielkie i mocne z niego się počęło i nim stoi? Indywidualizm, to zaiste cnota cnót Polaków. Kontrasty jego światłocieni, to źródło naszej wspaniałości.

Lecz bilans ten, tak pochlebiający sercu każdego sobiepana, bynajmniej nie jest bilansem prawdy i służy raczej do zniekształcenia obrazu rzeczywistości ad usum narodowego samouwielbienia. Zrećnienie sprężnięto w nim wielkość z małością i w dość przemysłny sposób usiłowano małość wylegitymować wielkością, przyjmując chyłkiem, że to niby z krwi i kości zaściankowego warcholstwa wyrosły w sublimacji potężne wole i wspaniałe natchnienia pierwszych w narodzie. Nie przyszło to indywidualizmowi maluczkich do głowy, że zbyt pochopnie utożsamia się z tym, czym nie jest i nigdy nie był. Bo nie z rozwiąłości sobiepanstwa wyrosły te czyny i dzieła, ale z wielkiej dyscypliny duchowej ich twórców, z drogo płaconych trudów osobistych i potężnych natchnień, będących przedewszystkim ich własnością i tylko ich, tych „polskich świętych”, którzy zbyt wielkimi byli indywidualnościami by się parać indywidualizmem, wiedząc, że pełni się on zazwyczaj tam, gdzie indywidualności niema ani śladu. Wstydliwie przemilczał też ów bilans i to, że gdyby to od niego, od indywidualizmu szaraczków zależało, nigdy Polska nie miałaby Kościuszki ni Mickiewicza, Piłsudskiego czy Wyspiańskiego, bo maluczkiem tym ludziom ale wielkim indywidualistom wystarczyłoby jak za dobrych saskich czasów Alwar, ojcowie Jezuici i — hungaricum. Coś w tym rozrachunku polskiego indywidualizmu musi być nie w porządku, kiedy malfazają legitymować się chce przed historią „Dziadami”. Jakiś skrętnie ukryty błąd tkwić musi w tej przedziwnej buchalterii, która za zadanie postawiła sobie wykazać, że domorośłe warcholstwo, dla niepoznaki zwane polskim indywidualizmem, też może być drogą jeśli nie do nieba, to w każdym razie na szczyty człowieczeństwa. Czyżby strojenie się w cudze piórka było przyrodzoną cnotą indywidualizmu a zastanianie się nie-

zawinioną pracą i zasługą jedynym sposobem salwowania pustki indywidualistycznej bujności? Czyżby tak sławiona kontrastowość duszy polskiej polegała na sprzężeniu sobiepańskich gestów z duchową nicością? Cóż więc naprawdę stanowi antytezę naszego indywidualizmu szaraczków jeśli jego ojcostwo naszej wielkości jest więcej niż niepewne?

Że zrównanie tego bilansu jest w prawdziwości swej podejrzone, o tym świadczy już to choćby, że jak długi i szeroki, niema w nim miejsca na owego właśnie zaściankowego indywidualistę, ku którego obronie ma on służyć. Skrojono go, by tak rzec, na miarę kosmiczną. Kanclerz Zamojski — Samuel Zborowski, ksiądz Marek — Kossakowski, ich wielkie cnoty i wielkie grzechy przeciwstawiono tu sobie, ale ów szlachetka czy drobniomieszczuch, co się pańskiej trzyma klamki albo na handelku fortuny dorabia, razem ze swymi malutkimi grzechami wielkiego indywidualisty jest, w tym nieobecny. Na szalę rozrachunku, czynionego w obliczu nieba i ziemi, poprostu go nie rzucano, a raczej nie! — on sam siebie nie rzucił. Ukrył się gdzieś w tej chwili sądu ów świetny indywidualista, w grzechach swych każąc się zastępować tym, co są w „zbrodniach” na fidiaszową miarę. Nawet wówczas więc, gdy przypadło mu stanąć po lewicy sędziego, indywidualistyczny szaraczek jawi się przed trybunałem per procuram wielkości. Wzruszający akt pokory, rzekłby ktoś. I w samej rzeczy, jeśli pycha jest transfiguracją poczucia niższości, to jest to mimowiedny akt pokory, gdyż w głębi serca wie on dobrze, ów szaraczek w cudze przybrany karmazyn, że nie tu jego miejsce, w dziewiątym kręgu piekła czy nieba, i nie na tą stworzony on miarę, by Bogu samemu buntem zaświecić w oczy.

Niepomierne niższe regiony są jego prawdziwą ojczyzną. Miejsce, które naprawdę jest mu znaczone, miara na którą naprawdę go stworzono, to — stado. Nie lubi tego słowa nikt, kto w Polsce indywidualistycznie się nosi, ale nie lubi go dlatego właśnie, iż przez skórę czuje, że ono określa duchową jego przynależność i wyznacza mu jego wymiary. Lecz niechęć ta nie potrafi zmienić prawdziwego stanu rzeczy już choćby dlatego, że stado nawet najzagorzalszych indywidualistów jest tylko stadem i daleko mu do zespółu rzeczywistych indywidualności, ile że, jak to już powiedziano, indywidualizm i indywidualność dziwnie się jakos ze sobą zrymować nie mogą. Nic tu też nie pomagają wszelkie koturny. Widywano stada też na koturnach. Nigdy jeszcze żadne szczudła nie uczyniły indywidualium indywidualnością, jeśli z przyrodością miało ono nieprzeparą skłonność do chodzenia na czworakach. Bo, używając romantycznego skrótu, powiedzieć można, iż jedno tylko jest sprawdzianem indywidualności: skrzydła. Nad kim prawa grawitacji mają taką moc, że tylko czołgając się przemierzać może obszary ziemi, ten nieuchronnie przyjął obywatelstwo stada, i to tymbarziej, im bardziej się go odprysięga i wypiera, przeczeniem swoim potwierdzając swą do niego przynależność. Dla indywidualności prawdziwych stadność należy do zjawisk kategorii non est; jako, że wywodzi się ona w prostej linii z kompleksu niższości, bujnością maskowanej nieraz, ale niższości. Wielkiemu nic nie jest małym. Natomiast domorośli nasi indywidualiści w największym nawet zdolni są doj-

rzyć tylko „brak”, gdyż dzieląc świat przez siebie, z wszystkiego jedynie swą własną przyziemność wyłuskać potrafia. I w tym może główna tkwi tajemnica rozpanoszenia się indywidualizmu u nas, że jest on doskonałą formą dla wyżywiania się małości, a jego kult, pragnący uchodzić za przewyżczenie stadności, jest w swej istocie przyznaniem się do niej i kultem jego instynktów. Jak każdy inny owczy pęd, ślepy i bezmyślny w swych „żywiolowych” odruchach, indywidualizm nasz jest fenomenem stadnym. I jeśli istotę czuci i sił wienia verbo myślenia stadnego stanowi uwielbienie przeciętności, to nie dziw, że rodzimy nasz indywidualizm, mimo wszystkie arystokratyczne krygi i strojenia się w cudze piórka, jest w gruncie rzeczy wypowiedzią wegetatywnego istnienia, stawiającego ołtarze nie bogom i półbogom niebieskim, ale bezpostaciowemu demonowi stada, objawiającego się w chwilach łaski swemu indywidualizującemu ludowi najczęściej w kształcie onego biblijnego cielca, mocno stojącego na swych czterech złotych łapach.

Szczycimy się wspaniałą kontrastowością psychy. Wskazujemy, że w tym świecie, gdzie jest tylko długi lity pas złudzeń, gdyż prawdziwy jest, przeciwnie, nudny, do zwyczajnej i całkiem poziomu stadności. I choć jak amatorski atleta, występuje ona na arenie niby nieprzeniknionej, a w rzeczywistości aż nazbyt przejrzystej masce indywidualizmu, po ruchach i gestach poznajemy tego zapasnika. Nic w nim nie kryje się ze Zborowskich choćby czy Kossakowskich, co przynajmniej mężczyźni umieli runąć w piekło, nic ze samotnej wielkiej zbrodni, ale za to mnóstwo z wiecowych Lucyferów, co to nieposkromionym słowem — nade wszystko słowem — niebo i ziemię przewracają śmiało, a równocześnie łypią okiem, czy aby nie odstrychnęli się w czym od podziwiającego ich szaraczka, czy aby nie wyrwali się z czymś, co nie po myśli wiecowych panów braci. Bo indywidualiści gwałtownie, sobą tylko mierzący wszystkie sprawy świata, jeśli go wogóle mierzą, mają zarazem głęboki instynkt „społeczny”, i na przekór swym gestom, prawdziwą ich wiarę określa stare dobre, szlacheckie hasło „kupa, panowie”! Niczego nie dają kredytu, co powszechnego nie zyska pokłasku, a kupą są gotowi przepędzić każdego „warchoła”, co pod włos waży się gaskać communis consensus. Dlatego w głębi duszy nienawidzą Prometeuszów, nietyle jednak jako konkurentów w indywidualizmie, ale ze stadnej nieufności do tego, kto nie tak czuje i działa, jak każde szablone zaściankowego lucyferizmu (przysłowiowa niechęć Polaków do swych wielkich ludzi w tym ma swe źródło). Nie cierpi walki, którą niesie każdy, kto przychodzi prostować drogi Pańskie. „Kochajmy się”! wrzeszczą ochryplymi z entuzjazmu głosami, a komu ta miłość podgolonego łba do drugiego łba podgolonego wyda się pędem stadnym, tego po staremu — na szable! Nigdy i za żadną cenę nie ważą się poczuć dokoła siebie tej wielkiej pustki, jaka otacza sprawców losu, bo instynkt im szepce, że tylko „społem” coś znaczą i czymś są. Tylko więc drogi, co z pozoru niedostępne, a w rzeczywistości dawno już wydeptane i przemierzone, są drogami, którymi gromadnie chadzają. Przed innymi wzdragają się, mimo bowiem całe półwariactwo animuszów, stadne ich światoburstwo tchórzem jest podszyte. (Jak to powiedział jeden z pisarzy polskich? „Polak nie

boi się Boga; Polak nie boi się diabła; Polak nie boi się kurierka”). Ten to lęk przed aby tylko nie wysforowaniem się, czyni ich masą, powolną wszystkim nakazom przeciętności, przesłoniętej oczywiście bujnym pióropuszem gromkich słów i światowładczych gestów, kulminujących w wodwiecynym „nie pozwalam”!, rzucanym wszystkiemu, co godzi w sacrosancta sobiepańskiego konwenansu stadnego. I w niczym indywidualizm nasz nie zdradza tak bardzo, iż jest zjawiskiem stadnym, jak właśnie w tym swoim lęku przed wszystkim, co nie mieści się w uznanym wzorcu, co nie jest niepisana zмова, co niewiadome i żąda prawdziwego ryzyka. Stado szlacheckie, z którego wszyscy mamy we krwi tak niebezpiecznie wiele, takim ongiś było właśnie: światoburczo śmiało do szaleństwa i do złaństwa z: chowawczo tchórzliwe. Czy aby zmieniło się odąd tak wiele?

Tego lęku, zyjącego na dnie stadnego serca indywidualisty, nieprzesłoni nic, nawet najwspanialsze kulisy irracjonalizmu, tak drogiego sukcesorom panów braci, pławiącym się w admiracji uczucia, które zastąpić im ma wszelkie inne potencie i władze ducha. Stado, jak wiadomo, jest zawsze bardzo uczuciowe, rzeczy można romantycznie, a nasi indywidualiści, krew z jego krwi, — ditto. Dlatego odruchy i narowy są jedynym dostępnym materiałem istnienia, a wierność im, nieskazona żadnymi zbytecznymi dywagacjami ni rozmyślaniami, uchodzi za cnotę nad cnotami. O dziwnym profilu „prostota serca” obowiązuje tu, i niemasz chyba kraju, w którym tak kochanoby się w wywieszkach, jak u nas, a byle tylko dość jaskrawo wymalowane, potrafią nam one zastąpić nietylko sztandary, ale głównie i przede wszystkim przedługie traktaty i zawile rozmyślania, tak niepotrzebne wszystkim, co natchnieni niekontrolowanym przez nic „duchem” dochodzą uproszczonym, wywieszkowym sposobem wszech prawd świata. Tak to się dzieje, że indywidualizm nasz, w oparciu o podejrzany kult podejrzanego irracjonalizmu, staje się wielką szkołą narodowej niemrawości i zmiany Polskę, jak to już dawno powiedział wielki poeta, w „kraj sentymentów krwią oblanych”. Płoną więc adepci tej szkoły osobliwej jak pochodnie ofiarne, ale cóż; kiedy wszystko to, jak mówi co dopiero przytoczony autor „Zwolona”, jest tylko próbą wykupienia się natchnieniem od pracy, usiłowaniem zachowania siebie w swym indywidualistycznym sobiepaństwie i w ostatniej instancji, uczynieniem pokłonu bałwanowi stadności, którzy na takie zbiorowe całopalenia dusz, jako bóg opętania, kłamstwa a nade wszystko lenistwa, zawsze łaskawym patrzy okiem. Wszystko tu bowiem jest innym niż się być wydaje. To, co mieni się szczytem czułości, jest po prawdzie wygodną kulturą samowystarczalnego sentymentalizmu, co sądzi się ostatecznym „bohaterstwa rumieńcem”, jest ustępliwym zejściem z drogi i ślepym przyściem rządzeń przeznaczania, co wydaje się wysiłkiem na nadludzką niemal miarę, jest w istocie rzeczy biernością serca i lenistwem duszy, wykręcającej się cierpieniem i czym się tylko da od ujrzenia prawdy. I aż nazbyt łatwo dałoby się tą całopalaną tragedię indywidualizmu ukazać w wymiarach równie może krwią nabiegłej komedii, gdzie nawet sama Roza Weneda musiałaby przybrać coś z niezbyt wzniosłej postawy arystofanesowskich bogów.

Czasem wydać się nawet może, jakbyśmy już wzrokiem błędzili wśród postaci tej domniemanej

komedii. Dekoracje zaiste straszliwe: belki osmolone i grzy domów, a wśród ruin i zgłiszczy przechadzająca się niewidzialnie śmierć in persona. I na tym tle, zbyt znanym, by je dostrzegać warto, odbywa się wielki „spłon indywidualistów”. Płoną indywidualnie i płoną chórami, tragicznie uniósłszy ręk, zapatrzeni w niewiadome nam — może tylko we własną doskonałość? — samotni i wzniesli. Jedno tylko ujmują im nieco powagi. Gdzieś tu, wśród tych ruin musiał widocznie buszować figlarny Puk, i on to rzucił na nich psotny czar Snucy letniej, bo oto każdy z tych patetycznych torsów wieńczy... ogromna ośła głowa. I za sprawą tego to odmienienia dzieje się, że najżałośniejszy nawet ryk, wydzierający się z indywidualistycznie umęczonej piersi, odbija się długimi kaskadami śmiechu od ścian niesamowitego theatrum.

Może to wielka niesprawiedliwość, ale taki jest już układ świata, iż najtragiczniejsi nawet Spodkowie nie mogą dotrzeć do naszego współczucia, gdyż długie uszy są może legitymacją indywidualizmu, lecz nigdy prawdziwej osobowości. Anonimowość, by nie rzec bezmyślność żywiolu jest może cnotą na kosmiczną miarę, napewno jednak nigdy na człowieczą, gdziekolwiek bowiem sprawy ziemi działy się przez gatunek stworzeń, zwany homo sapiens, tam świadomość ludzka, myśl ludzka była najpierwszą z kreatorskich narzędzi Boga. Kto się jej wyrzeka, ten wyrzeka się zarówno Boga jak i siebie a pielęgnuje jedną jeszcze ze złud naszego zaściankowego indywidualizmu, iż „myśli nie potrzeba”, gdyż wystarczy bujność odruchów, by stanąć posągiem człowieka na posągu świata — iż lenistwo ducha, ów grzech zaliczany przez kościół do tajemniczych grzechów przeciwko Duchowi św., jest drogą wiodącą do przybytku ludzkich dokonań. Jeśli jednak gdzieś droga ta wiedzie, to tylko w przepaść i potępienie. „Odejdźcie ode mnie bezrozumni”, brzmi wyrok straszliwego Sędzi, a sąd Jego odbywa się nieustannie. Jeśliśby o tym indywidualiści nasi zapomnieć zechcieli, przypomną im to popioły zwęglonych domów i w perzynie obruconych chat. One powinny im powiedzieć, że w czasach tak osobliwych, jak dzisiejsze, gdy każda chwila zachodzi człowiekowi drogę krwawym znakiem zapytania, żądając nowych postanowień, nowych rozstrzygnięć, a nadewszystko nowych myśli, nie sposób odpowiadać na wszystko entuzjastycznym rykiem zakłętego Spodka, a w najlepszym wypadku okrucami jakichś wspominek, przyzywaniem jakichś nieżywych kodeksów, pełnych dawno zetlełej mądrości, i myślami, które zleżały się jak postaw starego sukna.

Myśl Polaków, pisał kiedyś St. Brzozowski, lubi jak pies węszyć, czy przeszedł tędy jego pan, i dlatego, jak już powiedziano, najbardziej światoburczy „indywidualiści” polscy potrafili chadzać, i chadzają, najbardziej wydeptanymi ścieżkami, żyć przygodnymi ewangeliami, którym do ewangelii niezmiernie daleko, z niesamowitą wiernością trzymać się zasad, co dawno straciły walor rzetelności, a wszystko to dlatego tylko, by salwować swą myślową bierność i swe lenistwo ducha. Dla tej samej przyczyny gotowi są oni wykonywać gesty wprost sobie przeczące i z małpą zrzecznością wzywać się w cudze postawy życiowe — francuskie czy sowieckie, to sprawa już drugorzędna — przejmować się nieśmiertelnymi „nowinkami”, tak drogimi sercu polskich wywrótowców, bo to zwalnia przecież od potrzeby myślenia na własną rękę

i na wszystko daje gotowe już rozwiązanie, oszczędzając kłopotu łamania się o siebie i swą treść w spotkaniu wręcz, znakomicie zaspakają instynkt stadny wyznawców naszego indywidualizmu, któremu, jako się rzekło, wywieszki tak łatwo zastąpić potrafią sztandary. Myślenie raz już ustanowionymi i przyjętymi szablonami znamionuje przeto i tych co po prawicy i tych po lewicy, a nasza kultura polityczna — i nie polityczna — ogranicza się w dużej mierze do przybrania jakiegoś potocznego schematu. Raz będzie to schemat wywodzący się w prostej linii z wyświechtanych i dawno przegniętych hasel rewolucji francuskiej, drugi raz z równie już wyświechtanych i przez same soviety zdeaktualizowanych hasel przewrotu bolszewickiego, to jednak waloru ich w oczach polskich ich wyznawców nie zmniejsza, zadaniem ich bowiem nie jest rozwiązywanie zagadnień naszego życia, ale uspokojenie „intelektualnego” sumienia ludzkiego stada, któremu nie pracy duchowej potrzeba ale politycznej tabliczki mnożenia. Dlatego zawsze to, co u nas śmiało, co się kikutem cudzego wysiłku nie podciera, co jest szukaniem rozstrzygnięć na własną rękę i ryzyko, jest i będzie nienawidzone przez nasz indywidualistyczny tłumek, który w imię „wolności osobistych przekonań” gotów jest protestować przeciwko wszystkiemu, co nie jest stadnym konwenansem i wytartym jak liche szeląg banalem. Długie uszy to nie tylko indywidualistyczny emblemat, to także znak „duchowego” porozumienia zakonu wielkiego stada.

Chociaż więc spłon indywidualistycznych Spodków może się wydać oczom, przyzwyczajonym do cierpiętniczych okularów, szczytem jakiejś derwidowej tragedii, dla Puka i przez Puka, który jak wiadomo albińskim jest duchem, nabiera on klasycyznych, wczesnoaatycznych kształtów społecznej haute comedie. Porykujący na się i na świat kochankowie Tytanii, w przynależności swej do żywiolu najrodzeńsi bracia Kalibana, wzywają tylko jego skłonność do psot, ale nigdy nie potrafią wywołać jego łez. Nie zwiedzie tego żywiolaka z Pukowej góryk wspaniały wielogłos duchowych kontrastów, bo na ziemi, co od niepamiętnych czasów jest królestwem jego figłów, dawno nauczono się drzwi z indywidualistycznych wyjść i nad rozdzierający ryk zaczarowanego — i czarującego — kłapoucha, wyżej cenić milczenie samotnych zmagających i alchemii wiązania ognia z wodą. Jeśli in terra Poloniae wydaje nam się to wciąż jeszcze niemięskim brakiem charakteru i wogóle czymś bardzo niedemokratycznym, to spotkać się to musi z uśmiechem pobłażania, płynącym z mądrości, której od wieków niemal znane są wszystkie stadne sentymentalizmy, która wie jednak, że stanowią one miazgę i mierzwę dziełom, budulec ich, ale nigdy ideę budowniczą, rodzącą się po staremu w wysoko zawieszonej izbie narożnej wieżycy jakiegoś szekspirowskiego kasztelu. Tam, zdala od zgiełku dnia, w rozżalonem tyglu myśli stapiają się przeciwieństwa istnienia w kamień filozoficzny wszechogarniającej idei. Tak kiedyś i u nas, na krakowskim zamku, z rozbieżności rozdzierających byt narodów na wielkim wschodnim miedzymorzu, wykrystalizowano wielką ideę unii, przeświecającą po dziś dzień nasze bytowanie. Żal jeno serce ścisła, iż tak rzadko, tak strasznie rzadko, zażywałyśmy w dziejach naszych tej alchemii, która rodzi wielkość. I choć Spodkowie nasi nie wierzą w wysoką jej sztukę i tajemną siłę, wrócić do niej musimy, by nie zostali zaściankami Europy.

W GRUDNIOWY DZIEŃ

Szaro i mętnie wstaje nad Warszawą grudniowy ranek. Zima 1943 roku nadchodzi leniwie i cicho, jakgdyby brakło jej siły. Jest wilgoć i lekki mróz. Milionowa rzesza mieszkańców wielkiego miasta otwiera oczy ze snu. Każdy ma nieokreśloną jeszcze świadomość ciężącego nad nim niebezpieczeństwa. Mgła sennego otumanienia sływa szybko z duszy. Aha... jest wojna, już 5-ty rok. I zaraz potem myśl druga: co będzie dzisiaj na mieście? Czy wczoraj zabili jakiegoś Niemca?... Ah, tak... tak... mówiono, że ponoć na Woli... było także coś w śródmieściu... Zatem będą egzekucje i łapanki. Wezbrana fala niepokoju i troski sływa w ciężkim westchnieniu. Były wczoraj przedwczoraj, będą dziś i jutro... Może się człowiek jakoś przesłizgnie.

Po czterech latach polowania na ludzi, jakie się, w rozmaitej formie, toczy nieprzerwanie na ulicach Warszawy, każdy jej mieszkaniec ma swoją taktykę życia i poruszania się w mieście. Jeden wyrusza na „o la Boga”, zdając się na los szczęścia. Inny kombinuje chytrze, rozgrywając między mieszkaniem a celem przeznaczenia całą bitwę taktyczną, z zastosowaniem najprzemysłniejszej nieraz strategii. Wczoraj była obława na Woli między 8 — 10, dziś Wola powinna być czysta. Na placu Teatralnym należy się spodziewać egzekucji. Przy egzekucjach nie łapia, ale lepiej je omijać. Na ostatniej liście był przyjaciel, kuzyn, kolega z dawnych lat... Okropnie! Życ jednak trzeba i warto. A zatem... do przystanku tramwajowego. Przedtym rzut oka na tramwaj... Pusty czy pełny? Jeżeli pusty, musiało coś „na mieście” być. W takim razie piechotą naprzód, póki się człowiek lepiej nie zorientuje. Najgorszą pułapką jest przecież wóz tramwajowy.

Przed wyjściem z domu wiadomość pocieszająca. Słonina staniąta. Kosztuje 170 zł. Nieprawdopodobna rzecz. Zamknęli przecież dla Polaków ruch kolejowy i święta do tego na karku. Któż jednak zgadnie jakie siły decydują o cenach na wolnym rynku? Łapówka wszystko zwycięży, ale, żeby aż tak... Kupiłabyś tam kilo albo dwa... — rzuca się żonie na odchodnym... — dobrze... dobrze... tylko... — Wiadomo nie ma pieniędzy. Ale czy były kiedykolwiek? — Może się coś załapie na mieście — padają optymistyczne słowa — wreszcie spróbuj opylić te stare buty... — Żona nie odpowiada. Buty już dawno sprzedane. Mąż jednak nie wie, że od wczoraj handluje żona pończochami. Kuzynka zdobyła dwie maszyny i otworzyła sobie w domu fabryczkę. Jeżeli dziś dozorczyńni wyjedzie na wieś po masło, wkręci się jej ze trzy pary dla chłopów. A może jeszcze nadejdą sardynki z Portugalii? Przed świętami są już po 60 złotych. — Na progu krótkie i strokane: — Uważaj tam... mój drogi. — Mężczyzna nie reaguje. Co tu przypominać? Dopiero na ulicy spogląda w okno mieszkania i szepce: ...moja złota... moja kochana...

A jednak ulica Warszawy przynosi ulgę. Przeźreń, ruch, walka... Co za niesporzyty naród. Na rogu, nieśmiertelne bulki z białej mąki. Pięć lat tropione przez najsprawniejszą policję świata... Pannie — powiada handlarka — ostrożnie tam, na placu. Kręcą się koło narożnego bloku. — „Egipskie, kluby, swojaki — woła papierosiarz. Już prawie z niego dorosły chłop. Cztery lata temu, gdy zaczynał, wyglądał, jak dzieciak. — Uważaj no bracie — poucza się młodzieńca, zakupując dzienną dawkę „swojaków” — bo cię tu lada dzień zachrapczą na roboty do Niemiec. — Kiedy ja mam trzynaście lat. — Ile? — Trzynaście! — mruga okiem domorosły kupiec tabacznany — stoi na karcie... — Jak oni to robią?

Wsiadanie do tramwaju, to zawsze przykróść i krótkie śpięcie z nasycającą powietrze brutalnością. Seria obelg i szturchańców spada na człowieka, jak grad. We wnętrzu już spokojniej. — Czy kto nie odczuwa potrzeby zakupienia biletu? — pyta konduktor. Dowcipkowanie stało się modą konduktorów tramwajowych. Niektórzy z nich wyrobili się na prawdziwych artystów, inni naśladowają tylko mistrzów. Ale skutek jest zawsze dobroczynny... Mały pętał w łachmanach wkręca się między tłum i śpiewa, a raczej krzyczy jedną z okrutnych, ponurych piosenek przedmieść Warszawy o wojnie. Za chwilę baryton z baczkami i gitarą występuje z polonezem. Wreszcie zwiędła rosjanka z „zauwncywym” głosem, który kiedyś musiał być piękny i dziś jeszcze przejmujący. Ta znowu zasmuca. Pamięta się ją przecież jeszcze z przed czterech lat, kiedy głos jej, wówczas silniejszy i czystszy dochodził z czarnych i pachnących spalenizną kątów zdruzgotanej Warszawy... Te dni, te dni niezapomniane...

Na słupach ulicznych malinowe plakaty, tak gęste, że już nic przy nich nie dochodzi do głosu. 10... 20... 100 rozstrzelanych. Ten z brzegu świeży. Nowa seria nazwisk, może ktoś znajomy. Ale na placu, pod słupami choinki... Drogie. — Pięćdziesiąt złotych nieduża. Skąd to wziąć. Bo przecież musi być, jest to sprawa niemal honorowa. Gdyby nie te chwile powrotu do świata, który jest swój, własny i nieosiągalny, gdyby nie ta pociecha zaufania, jaką obudza zamknięcie się wśród swoich, wśród rodziny, kolegów, przyjaciół, chyba by się nie wytrzymało. Więc święta będą i to wcale niezłe. Ze wsi coś tam przysła krewni a potem pójdzie się do tych i owych znajomych. I jednego dnia przy tysiącach stołów Warszawy pogada się hucznie i gwarnie, z tą zuchwałą szczerością, której nie może stłumić, ani nawet osiągnąć policjانبуда. Przez okna gruchnie jasny krzyk: Niech żyje Polska. Przechodzący żandarmi i snują się szpicle będą udawać, że nie słyszą.

Podczas wojny pracuje się długo, ale niemrawo, na czas. Byłe się nie spóźnić i odsiedzieć swoje. Ciężko mozoli się zato czarny handel i czar-

ne zajęcie. Ma jednak pieniądze... duże pieniądze. W godzinę po przyjściu do biura, urzędu czy stójki ulicznej wie się już wszystko o mieście i szerokim świecie. Każdy ma swoich informatorów i wie co o nich myśleć. Jeden pleciuga, ale ma czasem świeże nowiny. Drugi alarmista, trzeci ostrożny, trochę tajemniczy, dobrze poinformowany. Ten zaczyna zawsze, że się nic nie dzieje, a potem dopiero powie interesującą nowinę. Jest i jedna paniusia, którą by się chciało przepędzić kijem. Fantazja jej nie zna granic w okropnościach... Od dziś będą rozstrzeliwć dzieci... na ulicach Warszawy kopią zbiorowe mogiły dla mieszkańców... pięćdziesiąt nowych ulic ma być oczyszczonych dla Niemców... I nagle ni stąd ni zowąd: W ambulatorium mówili, że za tydzień napewno skończy się wojna... Niech ją djabli wezmą...

Dobrych wiadomości niema już prawie od roku. Właściwie od śmierci Sikorskiego, która była ciosem dla szalonego, na pół dziecinnego optymizmu Warszawy. Na czające się w duszy pytanie: co będzie z nami? Nie przychodzi żadna odpowiedź z dalekiego świata. W zmienionych, przynębionych nastrojach dojrzewa jednak duch walki. Będą oni! Będą jeszcze ciężkie czasy. Skąd wziąć siły aby płacić ten straszny, codzienny atrybut krwi i zachować się na ostatnią rozprawę?... Zobaczy się. Ustępności nie ma i być nie może.

Koło południa zajężdża zupa, owa generalna zupa, którą za grosze dożywia się w biurach i urzędach i fabrykach ludność Warszawy. Pachnie już zdaleka na schodach niejednej, wspaniałej ongiś instytucji. Jedzą ją na równi z innymi i panowie dyrektorzy i prezesi. Jedni dla przykładu, drudzy dla oszczędności. Tęgo, komu jest głównym odżywieniem poznasz po cerze szarej i wodnistej. Przy zupie załatwia się interesy, czarne nieraz i nie wiele mające z uczciwością, ale stanowiące o życiu i istnieniu człowieka.

Nie samym jednak chlebem żyje człowiek..... Kilkadziesiąt wydawnictw podziemnej Warszawy dociera wszędzie wiadomymi tylko sobie drogami. Przejmuje się ją i oddaje milcząc i nie pytając o nic. Wyszkolony wojną warszawiak rozumie, iż wiedzieć powinien tylko tyle ile musi wiedzieć..... Masz?... mam!.. lub! nie przynieśli. I tyle. O otrzymanych wiadomościach mówi się i dyskutuje dopiero nazajutrz, gdy są już na ustach całego miasta.

Zmierzch..... jest taka chwila pomiędzy trzecią a piątą, gdy miasto szumi zgiełkiem, a w potoku życia tonie nawet potęga wojny i niemieckiego najeżdzu. Zatopienie się w tłumie stanowi wówczas

rozkosz i niemalże wytchnienie. Warszawa jest wówczas Polską nietylko moralnie, ale i fizycznie. Snujące się patrole żandarmów niemieckich bezradnie i niechętnie spoglądają na potok ludzki, którego zatrzymać ani ugryść nie sposób. Zmotoryzowane „sztreify" ugrupowane teatralnie z karabinami zwróconymi w dwie strony ku jeźdźniom w chwilę tą nie budzą postrachu ani nawet ciekawości. Rychło zresztą zawracają do kasarni lub wybiegną na przedmieścia do wykonania szczególnych poleceń.

Nadchodzi bowiem wieczór i ciemność, niebezpieczna i nieobliczalna pora. Na ulicach jest jeszcze ruch, do ostatka, do policyjnej godziny ósmej. Ale rzesza ludzka unika już ulic bocznych i pustych, które przebywa się szybko, zwalniając kroku dopiero na arteriach. Jeżeli w taką porę ujrzysz znieścacka człowieka, o którym byś nigdy nie sądził, że jest w tym mieście i żyje gdzieś, obok ciebie, unikając światła dziennego, nie dziw się, bo nie ma rzeczy tak dziwnej, któraby mogła wytłomaczyć na czym polega niespożyty opór Warszawy i jej niezmożone siły.

Gdzieś, nie rozeznasz, daleko czy blisko, gruchnie strzał. Idzie jakaś nieznama ci rozprawa, zapowiedź dalszego niepokoju i rosnącej zgrozy. Tylko przyjezdny, albo notoryczny głupiec przystaje i nasłuchuje, gdzie to jest i co z tego, wyniknie. Z biegiem lat ludzie oswoiłi się ze wszystkim. Tylko jakaś potężna bomba, albo rechatonia „rozpylacza" zmusiłoby ich do zmiany postanowienia ruchu, tkwiącego w warszawskim przechodniu.

Dom po powrocie wydaje się przez chwilę oazą. Chociażby dlatego, że jeszcze jest i istnieje i nic się w nim nie zmieniło. Jeżeli jest światło w domu do znaczenia dochodzi książka. Czytanie książek staje się coraz bardziej podobne do snu. Ład i sens, piękno i wiara w człowieka zawarte w nich jest podobne do milego majaczenia o nieistniejącym, całkowicie zmyślnym świecie.

Na chwilę przed snem, krótkie pytanie. Co przyniesie noc? Ilu łapaczy i z jaką listą rozpuszczą dziś po mieście? Czy gdzieś w sąsiedztwie, może we własnej bramie rozlegnie się gwałtowne łomotanie w drzwi i krzyk: aufmachen! aufmachen! W nocy dzieje się też wiele, tylko, że broni nas sen.

Zasypiasz i notujesz: cztery lata i cztery miesiące wojny. Prawdopodobnie jutro obudzę się jeszcze w łóżku. Myśl ta dodaje ci otuchy. Skreślarz z satysfakcją jeszcze jeden dzień życia. Wielkie miasto rozłącza nad tobą opiekę i wciąga cię w swoje łono na jeszcze jedną noc.

K O L E N D A

— Niedobrzy aniołowie
 Stajenkę poplamicie,
 Skrzydła wasze skrwawione,
 Srebrne, a postrzępione.

— Matko, lecimy światem,
 Czerwona ziemi rosa
 Skrzydła nasze obmyła,
 Rdzą skrzydła pozoczyła.

— Niedobrzy aniołowie
 Dzieciątko przestraszycie,
 Spadła Dziecku na czoło
 Kropla krwi ciemną smołą.

— Matko, patrz co się dzieje,
 Kropla blaskiem jaśnieje,
 Z czoła Dziecka powstaje,
 Świeci na wszystkie kraje.

— Matko, patrz co się dzieje,
 Blaskiem w niebie jaśnieje,
 Nad głuchą mocą ziemską
 Jest gwiazdą betleemską.

— Gloria, gloria in excelsis Deo!

(Z „Pieśni Niepodległej”)

„ T E A T R O G R O M N Y ”

Zodiakalnym znakiem teatru jest znak zbiorowości. Taka jest już choćby fizyczna konstytucja teatru, że zwierzać się on może tylko zbiorowości. I naodwrot, materialem jego zwierzeń jest marzenie zbiorowe, które nim owładnęło i któremu naje on kształt i wypowiedź, siebie samego tym wypowiadając. Do zbiorowości przemawiając, zbiorowość, jej sny i natchnienia, wyraża objawieniem tego, „co się w duszy komu gra”, co stanowi utajoną lub jawną prawdę zbiorowego serca widowni. Dlatego jak dawniej tak i dziś przeznaczeniem teatru jest organizowanie natchnień zbiorowych przez arkana swej sztuki, a moc prawa, zawartego w tym przeznaczeniu jest tak wielka, że nawet wówczas, gdy przypada teatrowi objawiać zwyrodnienie zbiorowego natchnienia, staje się on zwierciadłem, postawionym przed wielogłowym Kalibnem, i w krzywej swej powierzchni wiernie odbija grymas znikczemniałych tęsknot zbiorowości.

Ze snów zbiorowości wynurza się teatr i snem zbiorowym do niej wraca. Niema i nie mogło być nigdy teatru indywidualnej przygody. Nie zdołał takiego teatru stworzyć ani elitarny klasycyzm francuski, nie był takim teatr nawpół obłąkanego

Ludwika bawarskiego, co w pustej widowni sam słuchał wagnerowskich oper. Nie było dokoła szalonego króla ludzi, ale była widownia, a z nią nieobecna ciałem ale marzeniem swym przytomna zbiorowość. Łudził się Ludwik bawarski, że widownia jego jest pustą. Mogła być niezapełniona, ale pusta — nigdy. Niewidzialna zbiorowość zasiadała w jej łóżach, krzesłach i fotelach, i jednym tylko z tłumu widzów był sam królewski koneser, tłumu niedostrzegalnego jego oczom, a jednak bardziej rzeczywistego niż sam koronowany samotnik. Gdyby miał lepsze, zdrowsze uszy, słyszałby oklaski niewidzialnych rąk. Bo to marzenie tej pustej widowni przyobiekło się w ciało na rozświetlonej scenie, to ona, widownia wywołała tą wizję z niemości, gdyż tu, na widowni, bije rzeczywiste źródło teatralnej prawdy. Tu, w półmroku, pełnym tajemniczej a czasem wręcz niepojętej mądrości, rodzi się z prawa zwierciadła to, co skrzy się i pali kolorowym widzeniem scenicznych zdarzeń. I niech tylko zapadnie u rampy niewidzialna, szklana kurtyna czy ściana, niedopuszczająca drżenia sceny na widownię, ni drżenia widowni na scenę — i jak dym rozwiewa się istnienie teatru. Rampa

sceniczna, to próg między dwoma światami, które żyć mogą tylko sprzężone ze sobą, na wszystkie dole i niedole. Pezostawione same sobie, tracą swą cielesność, gdyż widownia, która nie może przyrzec się w scenie, scena, która nie może przyrzec się w widowni, to mniej niż dwie nieżywe obecności: to nieistnienie. I tylko porozumienie, utajone w zbiorowym natchnieniu, władającym zarówno sceną jak i widownią może dwa te światy powołać do istnienia i zespolić je w żywą jedność kościoła teatru, uprawiającego, jak na kościół przystało, nieustanne duchów obcowanie. Gdzie tego obcowania, choćby nawet w grzechu i błędzie, nie ma, tam nie ma teatru, bo dusza samotna może sto gwiazd zgasić i drugie sto wzniecić, ale teatru stworzyć nie potrafi. Teatr wyłonić z siebie może tylko zbiorowość.

Gdy się spojrzy na teatr polski od strony genezy z ducha zbiorowości, dopiero ocenić można trudności położenia, w jakim znajdował się on w ciągu całego niemal dziewiętnastego wieku. Zły los strzaskał mu sam stos pacierzowy, i choć żył, członki jego wykonywały bezładne ruchy paraliżujące, które poniekąd mogły się wydawać wysoką grą artyzmu. Niedowład, jaki go tknął, miał swe źródło w tym, co, używając przeinaczonej terminologii heglowskiej, nazwać by można rozszczepieniem pomiędzy świadomością widowni a świadomością sceny w ich zasadniczej symbiozie. Teatr polski tych czasów istniał wprawdzie, działał a nawet błyszczał gwiazdami znakomitych talentów aktorskich, to jednak, co wyrażał i co wyrażać mu było wolno, było zaledwie jakimś marginesowym przejawem narodowej świadomości zbiorowej. Z tego, co było sumieniem widowni i najgłębszym jej marzeniem, nic nie miało wstępu na sceniczne deski, i rampy bowiem leży wielopostaciowy a czujny Cerber przemocy, niedopuszczający, by z widowni wdarła w blask teatralnych lamp szalona postać Konrada, co w każdym żyje sercu. Tak to ze zwierciadła istnienia teatr polski stał się poniewoli — a z nawyków i obcej mody w części także i powoli — jego wstydliwym parawanem, w którym jeśli się coś odbiło, to tylko jakieś cienie cieni, mające zresztą zdrowe rumieńce cudzej czy rodzimej, ale zawsze obojętnej na wszelkie gromy dziejowej komedii. Gęsi i gąski radców pana radcy jako ostatnie ogniwo długiej kultury przymusowej z początku niefrasobliwości, przemieniającej się powoli w organiczną. Nawet Fredro dopuszczany był tylko dlatego, że to niby łzawe wspomnienie, i że udawało się jako tako podzielić go przez gęsi i gąsięta. A tymczasem całkiem coś innego grało się w zbiorowej duszy widowni, która, chciała czy nie chciała, żyć musiała w świecie spraw nie na krawiecką miarę, nie na miarę krotchwil, jaką uparcie karmiła ją usługna ręka ówczesnych „protektorów” polskiego teatru.

To co się przez lat bez mała kilkadziesiąt na scenach nowych pleńiło i dokonywało, mogło nawet być dziełem wielkiego kunsztu, głównie aktorskiego, mogło w pewnej mierze salwować publicznie mówione słowo polskie oraz polską kulturę teatralną w nie zasadniczych jej przejawach, mogło w końcu wyrażać jakiś tam margines rzeczywistości, ale teatrem zbiorowych natchnień nie było napewno. I żalona raczej stanowiłoby to kartę, nie świadczącą bynajmniej o wielkości snów zbiorowej psyche, gdyby się wówczas nie dokonało coś, co bez przykładu w annałach teatru, od cza-

sów Ajschylosa aż po dzień dzisiejszy. Mając zamknięte przed sobą bramy gmachów teatralnych, prawdziwy teatr polski, ów teatr zbiorowego natchnienia, powstał poza teatrem, jako dramat czyli wypowiedź widowni, i jako widzenie czyli wypowiedź sceny, a raczej jako jedno i drugie, w przegnięte w całość nowego kształtu teatralnego. By objąć niezwykłość i jedynność tego zjawiska, należy sobie uprzytomnić, że kiedykolwiek i gdziekolwiek powstał teatr, tam ośrodkiem stawał się zawsze organizm sceniczny, określający kształt dramatu i samemu zresztą ulegający pod jego wpływem przeobrażeniu. Tak było za tragiców greckich, tak w średniowiecznych widowiskach, tak za elżbietańskich sławnych czasów. Inaczej u nas. Tu przeciwstawiono się niejako temu prawu organicznego stawania w teatrze, złamano je na korzyść wizji nowego kształtu teatralnego, oglądanego wprawdzie „oczyma duszy”, ale realizowanego już w przyjęciu innych, wizyjno-widowiskowych wymiarów dramatu, a uczyniono to po części powodując się niechybnym instynktem twórczym, po części zaś w świadomym przeciwstawieniu się obowiązującemu ładowi scenicznemu, czego dowodzi sławna lekcja teatralna Mickiewicza, ostrzegająca przed zawierzeniem aktualnej scenie. I jeśli nawet Dziadów czy Nieboskiej, czy Smuela Zborowskiego nie pisano „dla teatru”, to pisano je napewno w natchnieniu nowym widzeniem teatru, a to właśnie widzenie jest rzeczą z rzeczy w teatrze ważnych — najważniejszą. Gordon Craig, tak samo jak nasi wielcy, z wyjątkiem może Wyspiańskiego, również nie zrealizował na scenie swego widzenia teatralnego, a gdy je zrealizował, ponosił zazwyczaj klęskę, a jednak ono właśnie tak mocno zaważyło na rozwoju całej nowej sceny europejskiej. W tym więc widzeniu poetów, od Mickiewicza począwszy, żył już implicite nowy polski kształt teatralny, zdolny pomieścić dramat, wyrażający rzeczywistość wielkie zbiorowe marzenie, dramat Dziadów, Irydion, Snu srebrnego, Krakusa, dramat będący krzykiem pokoleń, które go w bezimiennym bólu zbiorowym poczęły i ustami swych poetów wypowiedziały, śniący się każdemu z członków wielkiego bractwa widowni, jeśli mu tylko serce do szczętu nie zetnęło. Stał się jakby cud niespotykany w dziejach teatru. Samotnicy, gorzko dumający na paryskim bruku, oderwani od żywej obecności swego narodu, oddaleni od sceny polskiej przestrzenią i przemocą, zdołali mocą nieprawdopodobnego wysiłku stworzyć ów „teatr ogromny”, którego kulisy wznosiła tylko „nierealna” wizja, ale który mimo to stokroć był bliższy zbiorowej świadomości narodu, niż mizerne choć arcyrealne gęsi i gąski, i który zdołał przemóc owo fatalne rozszczepienie pomiędzy widownią a sceną, jakie teatr ówczesny mógł sprawiedliwie tylko rozłożeniem rąk.

Taka była puścizna wielkiego polskiego Parryza: dramat wyrażający w nieporównany sposób wspólne marzenie widowni i zaśpiew na nowy kształt sceniczny, nakreślony concretissime sformulowaniem jego widzenia. Testamentem przekazano puściznę tą przyszłym pokoleniom, ale nikt jakoś nie kwapił się odcyfrować jego znaków, nie tak łatwych do odczytania dla ówczesnej przeciętnej wyobraźni. Po większej części, dla uproszczenia sprawy, niezauważono go. Powstała legenda nielegenda o niescenicznosci dramatu polskiego i od czasu do czasu, gdzie stosunki pozwalały na to, z pietyzmem kładziono go na prokrustowe łożo

ówczesnej sceny. Ale każde takie doświadczenie potwierdzało tylko przekonanie o niescenicznosci Działów czy Nieboskiej. Zapomniano o scenicznym testamencie, nie dziw więc, że się ani Dziady ani nic innego na tym łożu pomieścić nie mogło. Tym dopiero, który stał się odkrywcą organiczności przekazanego teatru, oczywistego związku kształtu dramatu polskiego z kształtem scenicznym, był Stanisław Wyspiański. Sam idąc tą samą choć własną drogą, zrozumiał, że z owego, jak go nazywał, wizyjnego dramatu polskiego, wyprowadzić należy wizyjny jego kształt sceniczny, i że bez dokonania tej pracy, bez podjęcia zapomnianej inicjatywy wielkich romantyków, realizacja „teatru ogromnego” nigdy się ciałem nie stanie. Jeszcze w okresie inscenizacji Działów nie uświadamiał sobie może tego w cała pełni. Lecz własna jego twórczość, również niemogąca się pomieścić na prokrustowym łożu sceny, na którym w pewnej mierze sam był położyl Dziady, zmusiła go do zstania się z „wymogami” teatru i użycia sposobów, obcych obowiązującym kanonom scenicznym. Dlatego też każde przedstawienie dzieła autora „Nocy Listopadowej” była pewnego rodzaju przewrotem teatralnym, torującym drogę kształtowi scenicznemu, zarysowanemu już przez dzieła wielkiej plejady. Realizując zaś dzieła Wyspiańskiego po raz pierwszy przekonano się, że scena posiada inne jeszcze, nie z teatru naturalistycznego albo też wiktoryngowskiego wywodzące się środki wypowiedzi, i że ogromnym wymiarsom dramatu polskiego środki te odpowiadały w znacznie większej mierze, niż te, którymi się powszechnie posługiwano. Zkryty krótki i zbyt nieszczęśliwy był żywot Wyspiańskiego, by udało się było wielkiemu poecie przebudować teatr polski wedle woli wielkich jego poprzedników i jego własnej. Ze śmiercią twórcy „Wyzwolenia” ustała ta inicjatywa, a nawet zaczęło ją pokrywać zapomnienie, co stało się losem także innego wielkiego inicjatora tych czasów, Micińskiego, który nawet nie miał dość szczęścia, by choć jedno, ze swych niezwykłych dzieł ujrzeć na scenie.

Nie brakło też w tym dziele zapór i... konkurentów. „Ibsen srogie” i jego bracie po stylu, nie licząc nieśmiertelnej komedii salonowej i niesalonowej, uparcie trwała na owych dawno zdobytych wyciach. A znów gdy chodziło o t. zw. wielki repertuar, posiadano w teatralnej rekwizytorni pomysłów dobrze wypróbowane recepty, z powodzeniem stosowane w operze. Z niej, w gruncie rzeczy wywodzi się cały nasz teatr, zwany zazwyczaj impresjonistycznym (choć nazwać by go raczej należało eklektycznym), którego najświetniejszym bo najzasobniejszym w środki przedstawicielem był warszawski Teatr Polski. Pod znakiem tego to „impresjonizmu” przepłynęła scena polska wody poprzedniej wojny, by wylądować w niepodległej już Polsce wielce poradnymi ale z linią polskiego teatru nie wiele mającymi wspólnego widowiskami.

Nic z początku nie zapowiadało by testament romantyków i trud Wyspiańskiego zamierzał podjąć ktoś w imię realizacji wizyjnego teatru. Mimo hasła walki z realizmem, głośno obwoływanych przez młode pokolenie pisarzy, mimo dość nieokreślone choć donośne próby indywidualne, teatr polski żeglował dalej pod flagą impresjo-realizmu. W tych warunkach zjawiskiem mogła stać się Re-

da, której znaczenie leży w tym tylko, że była gościnnym zajazdem dla kilku outsidersów z inicjatywą, nigdy zaś w tym, że nawiąże głosiła przebrzmiałą już ewangelię „przeżywania” i naturalistycznej wierności z pod znaku Stanisławskiego. Ale właśnie jedna z tych obcych duchowi Reduty inicjatyw, wystawienie „Pastorałki” miała odegrać ważną rolę progu na drodze ku nowym próbom realizacji „teatru ogromnego”. Zastosowanie umownych środków scenicznymi, zaczerpniętych głównie z dawnego teatru religijno-ludowego, podziało bardziej ożywiająco niż wszelkie inne usiłowania rozprawienia się z „realizmem” i dodało otuchy tym nielicznym, którzy nie zapomnieli o mickiewiczowskiej zapowiedzi nowego teatru i pamiętali, ku czemu zdążył teatralny wysiłek Wyspiańskiego.

Gdy otwarto wreszcie na nowo podwoje Teatru im. Bogusławskiego w Warszawie, grupa ludzi, związana z tą sceną, przystąpiła zrazu nieśmiało, potem jednak z całą namietnością do pracy nad nowym ładem w teatrze. Pracę tą rozpoczęto sceniczną realizacją obcych dzieł, lecz przyswiecały jej te same cele, jakie teatrowi polskiemu przekazał testament wieszczów i wola artystyczna Wyspiańskiego: stworzenie polskiego teatru wizyjnego o monumentalnych wymiarsach. Wnet też wtargnęły na scenę te dzieła Kraszińskiego, Wyspiańskiego, Żeromskiego a nawet Micińskiego, których realizacja sceniczna daleka była teraz zarówno operowej wystawności, jak i okaleczaniu dzieł poetyckich i przykrawianiu ich do sposobów realistycznego teatru. Droga, którą obrano, to budowanie kształtu scenicznego nie sprzeniewierzającego się wizji poetyckiej ale wywodzącego się z niej i będącego samemu tworem wizyjnym, snem scenicznym, w którym nawet sprawy najbardziej dotykalne obowiązuje logika snu. Jeśli więc jeszcze dla Wyspiańskiego plastyczne ujęcie dzieła dramatycznego miało za zadanie oznaczenie właściwego mu couleur locale, to obecnie konstrukcja wizualna zmienia się jakby w szereg znaków, stanowiących punkty oparcia dla dramatycznego działania i narzucających widowski ład wizyjny. A równocześnie nad tak pojętym obrazem scenicznym rozpina się, jak w dawnym greckim teatrze, wielki okrąg nieba, w które budowana od dołu, nie impresjonistycznie rozbita, konstrukcja plastyczna wrasta zwartym kształtem architektonicznym. Jest to jednak umowna architektura wizji, każąca nam śnić o wyobrażonym świecie, a nie próbować go wzrokiem. Z tak rytmizowaną przestrzenią sceniczną łączyła się rytmizacja akcji dramatycznej, rozwijanej przez artystę teatru na muzycznym jej planie, z rittardandami i dygresjami zawieszającymi pozornie pochod zdarzeń scenicznymi, w rzeczywistości zmierzającymi ku ostatecznemu celowi artystycznemu, ku któremu zdążają nieuchronnie widzenie i dźwięk — słowo, związane prawami teatralnego kontrpunktu i łączące się w szeroko płynącą symfonię dramatycznego stawania się. Ta interpretacja akcji, poczęta z ducha muzyki, która swym generał-basem wszystkiemu twórcy i wszystkiemu wyznacza właściwe miejsce, nadawała dziełu scenicznemu wygląd wielobarwnego rapsodu snu, w którym realne i widzeniowe, doczesne i nieziemskie łączą w zwartą jedność widowiska, rządzonego swoistym, wizyjnym ładem. Ładowi temu służy też alchemia światła, przeczuwana przez Mickiewicza

a stosowana teraz gwoli pogłębiania wizyjności, jak zresztą wszystko inne, co znalazło się w tyglu sceny, by przemienić się w obiekt snu.

Lecz sen ten, snuty na otwartej scenie, daleki był blahemu estetyzowaniu i mało miał wspólnego z kulturą „czystej formy” wiodącą, w misterium rozpaczy. Miał on mocne fundamenty, nietylko w przekazach przeszłości, ale i w samym sobie, w swej woli i prawdzie. Tym, co leżało u zrębów tego teatru wizyjnego, to wzruszenie religijne, choć bynajmniej nie dewocja. Nie jest to przypadkiem, że lwowska inscenizacja Dziadów — powtórzona potem kilkakrotnie gdzie indziej — była szczytem tak pojmowanego teatru. Z Dziadów począł się on i w Dziadach też kulminował, a że są one jedynym nowoczesnym misterium w literaturze światowej (nie jałową stylizacją), niemało z tej postawy wejść musiało w skład wysnutego z nich teatru. Głos „ludu” zwiał widowiska te misteriami, i nie bez racji, gdyż wzruszenie religijne było ostatnią instancją i kluczem zarazem do tajników tego teatru wizyjnego, który artystem przewyżczał egotyczną samowystarczalność artysty i uczucia widowni przez scenę wyprowadzał poza ciasny jej krag. Służąc jednak, by tak rzec, niebu służył też i ziemi, gdyż twórcy jego nigdy nie zapomnieli, że widzenie sceniczne jest tylko obiektywizacją natchnień widowni, a że natchnienia te wyrażały głębiej niż cokolwiek innego wielkie dzieła dramatu polskiego, przeto i z tych względów sceniczną jego realizację uważał on za swe najpierwsze zadanie. „Sztuka nie służyła mu do odwieczenia widowni od siebie, jak to było za bałuckich czasów, ale do przywrócenia jej sobie, do ukazania jej własnej jej twarzy w zwierciadle sceny, wierzono bowiem w wieczystą aktualność Dziadów, Księdza Marka, Nieboskiej, Wesela choć szeroki ogół „rewizjonistów” gotów był w nich widzieć tylko okolicznościowe wypowiedzi wielkich nawet poetów, ale „nie na te czasy”. Realizując dzieła te w teatrze, tworząc dla nich swoisty kształt sceniczny, wiedziano napewno — i żaden rewizjonizm nie potrafiłby przekonać tego podważyć, — iż pokazywano „światu i duchowi wieku postać ich i piętno”.

Że prace nad rozbudową tego teatru uległy zahamowaniu, na to złożyły się dwie główne przyczyny. Pierwszą stanowiło to, że po zamknięciu teatru im. Bogusławskiego, żaden inny teatr w Polsce — nawet powstały później ogromny kompleks teatralny warszawski, któremu przyświecały raczej organizacyjne niż artystyczne cele — nie znalazł u siebie dla tej inicjatywy miejsca i dopiero po kilku latach zdołano podjąć ją w teatrze lwowskim. Była jednak i druga, ważniejsza bo wewnętrzna przyczyna. Gdy umocniono już zręby tego nowego teatru, gdy wypracowano jego kształt sceniczny, znaleziono się w obliczu niebezpieczeństwa, które bynajmniej nie było blahem: niebezpieczeństwa, nowego rozdwojenia pomiędzy świadomością widowni a świadomością sceny.

Nie umniejszając bowiem wieczystej wielkości polskiego dramatu, w imię prawdy stwierdzić trzeba było, że nieprzerwane obracanie się w zaklętym jego kole, mogło żywy teatr przemienić w teatr wspominek, nieustannej retrospekcji, która aż nazbyt łatwo staje się drogą w grób. Zbyt był to twór żywy i zbyt młody, by mogły mu przyswiecać muzealne ambicje Komedii Francus-

kiej. Wnet też zrozumiano, że powołanie teatru tego do istnienia w jego dotykalmym już kształcie, to nie tylko spłata długi przeszłości, ale także ogromne zadanie postawione — przyszłości. I jeśli dokonywująca się i narastająca obecność polska nie zdoła przez swych poetów i twórców, przez teatr „obejrzyć się” w ten sam sposób na rzeczywistość, jak tamci wielcy umieli się obejrzyć na swoją, jeśli to, co się w sercach nowego pokolenia gra, nie znajdzie drogi na scenę, a pomiędzy widownią, snującą nowe marzenia, i sceną, nieumiejącą, nadać im imienia, stanie ona fatalną szklaną ścianą wzajemnego nie rozumienia się, teatr przezuwający choćby największe wzniosłości, skazany jest na uwiad.

Zrozumiano też, że nowe generacje krzykiem, który z nich jest, nieustannie odkupują przeszłość, że Konrad mickiewiczowski dlatego nie jest pomnikiem tylko, że istnieje Konrad Wyspiańskiego, jedynie bowiem przez ciągłość wysiłku i nieustannie nowy szturm do nieba nawet umarła przeszłość stać się może żywą przyszłością. Tylko ni wierni są naprawdę wiernymi. Takim był Wyspiański. Takim Miciński, który, choć tkwił cały w tradycji dramatu polskiego, nie wywoływał duchów, nie chodził śladami cudzej wielkości, ale sam z siebie i z żywej, aktualnej terażniejszości wysnuł w Kniżaniu Patiomkinie wizję tragedii narodu rosyjskiego, widzianej oczyma i mierzonej natchnieniem polskiego poety. W dziele tych twórców ujrano wskaźnik dla lat które idą, dla dzieł, jakie narodzić się mają, dla teatru wreszcie, który chce być żywym zwierciadłem zbiorowego natchnienia. Narazie jednak tylko wskaźnik.

Ów strach przed czającym się za drzwiami wyjąłowieniem i poczucie pewnej bezradności sprawiły, że hasła neorealizmu, tak donośne w Rosji, zaczęły się u nas plenić, mając stanowić jakoby zbawcze remedium na trudności, jakie stanęły przed teatrem polskim. Zbyteczne przypominać, że i Dziady są realistyczne w najwyższym wymiarze, tym wizyjnym realizmem, który stanowi jedną z najistotniejszych cech dramatu polskiego. Tymczasem neorealizm rosyjski był nawiązaniem do tradycji gogolowskich i czechowskich, nie mających wiele wspólnego z polskim wizjonerstwem, a troską jego było niewątpliwie zarówno utrzymanie linii rosyjskiego teatru, jak i to, by drama, łamejszy „obejrzał się” na nową sowiecką rzeczywistość, mimo bowiem wszystkie agitacje, i tam żył teatr pod groźbą retrospekcji. Co może być jednak znakomitym środkiem odmładzającym dla sceny rosyjskiej, to może stanowić śmiertcionośny lek dla polskiego. Dążności teatru naszego są, nie powiemy już wyższe i wybredniejsze, ale nade wszystko — inne. Kto chciałby tchnąć życie w teatr nasz, nawiązując do Bałuckiego czy choćby Zapolskiej, ten srogo zawiódłby i siebie i teatr, gdyż twórczości te nie wyznaczają zasadniczej linii naszej sceny ni piśmiennictwa scenicznego. Linia, która jest nią naprawdę, to ta, co biegnie od Micińskich do Micińskiego. Nawiązać do niej, niepomierne większy to trud niż tworzenie w czechowskim stylu „małych tych obrazków z sowieckiego mikrokosmu, ale trud nieodzowny.

Tak rozumiejąc i oceniając sytuację, tuż przed obecną wojną wysunięto przeciw neorealizmowi hasło „nowej widowiskowości”. Ponieważ na ob-

szarze nowej polskiej twórczości nie znajdowano utworu, któryby ad oculos wyobrazić mógł, czego się po tej nowej widowiskowości spodziewać można, wskazano na utwór obcy, widowisko Chesterona, „Człowiek, który był Czwartkiem”, jako dramat zapewne niedoskonałe już choćby z tego względu, iż jest przeróbką powieści, mimo to jednak mogące zorientować. Dziwny to twór: nawpół misterium a nawpół historia detektywna. Dlatego może nie znalazł on łaski w oczach widza angielskiego, gdy natomiast w Polsce zdołał stać się bliskim naszej wyobraźni. Nosi on podtytuł „zwidzenie senne”, a znamionuje go z jednej strony realizm, aktualność, współczesność z drugiej zaś poetyczność, fantastyczność, misteryjność. Jeśli dramat, którego przyzywa „nowa widowiskowość”, stanie się rzeczywiście ciałem, to prawdopodobnie powstanie on tam, gdzie stykają się ze sobą wszystkie te przymioty. Rzecz przytym zmienna. Gdy-

byśmy tę sześcioprzymiotnikową receptę zastosowali zarówno do Dziadów jak i Kniazia Patiomkina, wszystkie sześć cech odnaleźlibyśmy w obu tych dziełach, z dodatkiem elementu snu i wizyjności bynajmniej, jak wiemy, nie obcych wielkiemu polskiemu dramatowi. Może więc słuszniejszą było rzeczą za wzorcowy utwór nowej widowiskowości uznać to właśnie dzieło Micińskiego, choćby ze względu na koncepcję dramatyczno-teatralną, epokę i osobę poety, nam najbliższe. Zdawałby się więc mogło, że droga wytyczona i że trzeba nią tylko pójść, by to, co w natchnieniach i trudach wypracował zgórą wiek, czemu scena polska zdołała dać kongenialny kształt sceniczny, aby wszystko to nie zmarnowało się i nie przepadło w piaskach wielkiej rodzinnej pustyni jak tyle już wielkich polskich wysiłków. Bo bój o „teatr ogromny” bynajmniej się jeszcze nie zakończył!

S P O J R Z E N I A

D o ż y n k i

Dobiegający sezon pomyślnych zbiorów uczył p. gubernatora G. G. dożynkami na Wawelu. Przypadek, wynikający zresztą z nieuchronnej logiki istniejącej w Polsce stanu rzeczy, chciał, że żwawy ten obchód zbiegł się z rozpoczętym sezonem publicznych egzekucyj. Ponury dwugłos krakowiaków brzmiących na Zamku i salw na ulicach Warszawy nie powstrzymał gubernatora przed zaproszeniem przedstawicieli R. G. O. Przedstawiciele nie przybyli i podali się do dymisji, dając piękny dowód odwagi cywilnej i obywatelskiej. Niezrażony postępkami ich dr. Frank obchód, rzecz jasna, urządził, delegacjami wyraźnie się cieszył i oświadczył między innymi, że już wie na czym polega polska kultura i jej istotne potrzeby. Żyjemy w tajemniczych czasach i trudno nam odgadnąć co właściwie miał na myśli regent G. G. Nie śmiemy przypuszczać, że jako przejaw polskiej kultury zrozumiał postępek przedstawicieli R. G. O. Wątpliwą wydaje się także myśl, że odbył jakieś głębsze studia nad dziejami Polski lub czytał książki, skonfiskowane przez władze niemieckie. Spróbujmy jednak ocenić sprawę realnie. Z tego co można dotychczas zauważyć z polityki kulturalnej na terenie G. G. poparciem p. gubernatora cieszy się muzyka i poniekąd gra w szachy. Stąd parę orkiestr symfonicznych i nieustanne turnieje szachowe. Pamiętamy również dawniejsze wypowiedzi

dra Franka o przyszłości G. G., który to kraj ma być zamieniony w jeden wielki ogród. Dalszy bieg rzeczy wizję tą nieco rozszerzył. Ogród G. G. zamieszkały będzie prawdopodobnie przez pracowitych i wesołych chłopków, jedyną warstwę społeczną, którą obecne władze zaliczają w pewnej mierze do „zdrowych”. Nie popełnimy dalej błędów, przypuszczając, iż kultura nasza, którą „poznał” dr. Frank polegać ma na pewnych obrządkach ludowych, z dożynkami na czele, z majowymi nabożeństwami a przy dalszym, szczęśliwym rozwoju wypadków, może nawet z obchodem „Wianków” i „lajkonikiem”. Obrazki na szkle, wycinanki, hafty, też mogłyby liczyć na poparcie... Widzimy już taki obraz wyimaginowany, gdy p. gubernator w krakowskiej sukmanie puszcza się w tany z wiejską dziewczyną w takt rżniętego od ucha krakowiaka. Nie chcemy przestrzegać, ale niejeden Niemiec stracił już w ten sposób „die Reichsidee” — syn zaś jego pasjonował się już Mickiewiczem. Dla zupełnej pewności należałoby skasować nawet i dożynki.

D y n a m i z a c j a z w y c z a j n o ś c i

Zdynamizowane na sposób totalny życie wysuwa na czoło pewne pojęcia, które dotychczas odgrywały niedużą rolę. Do pojęć takich należy u Niemców: Erlebniss i Einsatz. Czytając przeróżne wypowiedzi, ma się wrażenie, że Niemiec dzi-

siejszy „przeżywa” poprostu wszystko. Zgoda, że był na froncie i przeżył atak sowiecki lub w bombardowanym mieście przeżył noc, zgoda, że przeżył mityng z Führerem. Okazuje się jednak, że przeżywa spotkanie z kolegami, posiedzenie partyjne, spacer po mieście, wieczór w knajpie czy kinie — jednym słowem wszystko. Nie je, nie pije, nie pracuje, nie gada a przeżywa. Podobnie ma się i rzecz z „Einsatzem”. Jest to słowo prawie nie do przetłumaczenia na polski. Dosłownie znaczy: wstawienie. Bliższym mu będzie: zastosowanie. Najbliższym może, żargonowe, warszawskie: zaiwanianie. Otóż Niemiec, przeżywając, również i „zaiwania”. I ma znów rację, gdy „zaiwania” ofensywę czy kontrofensywę, atak powietrzny czy podwodny, ale staje się śmieszny, gdy mówi o „Einsatzu”, wydając ludności kartofle, ucząc dzieci czytać i pisać lub pilnując, aby ludzie nie czepiali się tramwajów. Czemu przypisać tą dynamizację zwykłych funkcji życiowych, awansujących o kilka szczebli w górę? Juści chyba „Einsatzowi” głupoty, która „przeżywa” „epokę” i słysząc nieustannie o największych w historii świata przedsięwzięciach, przewrotach i bitwach, sądzi, że każda czynność ludzka jest wobec tego również czymś niezwykłym i wymagającym jedynego w swoim rodzaju (einzig) napięcia energii, woli i talentu. Że przytym ulega degradacji dokonanie naprawdę wielkie, „zdynamizowany” głuptas już nie dostrzega. Taki jednak jest los totalizmu, który mianując bohaterem każdego zjadacza chleba musi doprowadzić do rozdzicia zwyczajności ponad głowy prawdziwych wielkości. Człowieka, którego życie składa się z samych przeżyć i „Einsatzów”, nic już nie porwie i nie zastanowi. W rezultacie oznacza to powrót do drobnomieszczactwa z którego hitleryzm wyszedł i do którego musi powrócić.

Żydzi i Polacy

Na Berlin spadły pierwsze huragany powietrznych bomb. Ludność jego przeżyła ciężkie chwile. Zdaniem propagandy niemieckiej postawa moralna berlińczyków wyszła świetnie z ogniowej próby. Uczynność, zaradność, pomoc wzajemna przeszła wszelkie oczekiwania. Nie będziemy w to powątpiewać. Naród niemiecki jest solidarny i odporny na ciosy, to pewne. Ale właśnie: postawa moralna. W rozporządzeniu burmistrza Berlina, który pozbawionej dachu i ognisk ludności, przyznaje rozmaite nadprogramowe świadczenia żywnościowe jest punkt, że wyłączeni od tego są Żydzi i Polacy. O kim może być mowa? Jeżeli chodzi o Żydów, chyba o ludzi diabelnie zasłużonych dla Rzeczy lub niezmiernie jej potrzebnych, skoro

zostawiono ich przy życiu — jeżeli chodzi o Polaków, chyba o tych, którzy opuściwszy dom i rodziny w swoim kraju pracują w fabrykach i warsztatach Berlina dla pomyślności Niemieckiego Państwa. Dodajmy, że wabiono ich do Niemiec zapewnieniami ludzkiego obejścia a wyjeżdżających fotografowano na dworcach G. G., podając za przykład innym. Byłby to jeden, praktyczny raczej взгляд. Drugi jest bardziej subtelnej natury. Polacy i Żydzi, pracując w Berlinie, na równi z Niemcami, choć w nieskończenie cięższych od nich warunkach materialnych i moralnych, ponieśli na równi z nimi nieszczęście. Od pomocy w nim zostali wyłączeni. W chwilach prób o człowieku stanowi odruch serca. W chwilach przesilen o przyszości jego wielkoduszność. Jakżeż więc będzie z moralną postawą Berlina? Jeżeli była naprawdę ludzka, pan burmistrz obniżył ją swym zarządzeniem, małym niezawodnie w rozrachunku odziedzonych konserw i chleba, wielkim w rozrachunku krzywd narastających w tej wojnie jedna na drugiej. Tłumaczyć głębiej na czym rzecz polega jest widocznie jeszcze przedwczesne. Głos mają bomby.

K a t y Ń

Na murach, jezdniach i słupach Warszawy toczy się od lat już walka, w której polska opinia przeciwstawia się napisami megafonom, plakatom a nawet wręcz żywym zbrodniom niemieckim. W nierównej walce trzeba nieraz całemu systemowi ucisku przeciwstawić się jednym znakiem lub słowem. Ostatnio ujrzelśmy na słupach Warszawy słowo Katyń, nie w postaci barwnych afiszów użytych przez propagandę niemiecką, ale jako napis kredą na malinowych wielkich plakatach, na których figurują nazwiska rozstrzelanych lub skazanych na rozstrzelanie Polaków. Groźne równanie dokonane na zbrodni niemieckiej i rosyjskiej jest najlepszą odpowiedzią daną Niemcom na ich niezdarne apele do sumienia polskiego, zagrożonego jakoby wraz z całą Europą przez wschodni najazd „hunów”. Bieg wypadków zaciera szybko epizody walki. Ale ten afisz czerwony przekreślony kredą utkwił nam długo w pamięci, stanowi bowiem wyraz czegoś co stało się już przeżyciem narodu i weszło w jego przekonanie wewnętrzne.

Słowa z za morza

Po wielu wielu miesiącach doszło naszych rąk wydrukowane przemówienie jednego z najwybitniejszych współczesnych poetów, który po długiej wędrówce z Francji dotarł wreszcie do Stanów Zjednoczonych, gdzie postawiono go przed mikro-

fonem, by przemówił — „do kraju”. Już to samo, że wyobrażano sobie w kierownictwie onej stacji i wyobrażał sobie pewnie sam poeta, iż naprawdę można przemawiać „do kraju”, że słuchają go więc setki i tysiące może uszu polskich, świadczy, jak bardzo niezrozumiano w dalekim U.S.A., czym ten kraj żyje, jakie są tu warunki i że przemawianie „do kraju” jest najzupełniejszą fikcją, bo słuchać słów tych mogą bardzo nieliczni i przez surowy los wybrani. Przedsięwzięcie to przypomina trochę list owej autorki polskiej, która przebywając w Anglii, okrężną drogą pisała do swych powinowatych, że jeśli znaleźli się w trudnej sytuacji materialnej, ona z największą chęcią i gotowością pozwała im wykorzystać jej — prawa autorskie. Pocziwina wyobrażała sobie, że tu wre ruch wydawniczy, choćby „konspiracyjny”, tak właśnie, jak ów poeta wyobrażał sobie, że działa w Polsce mnóstwo aparatów, żadnych jego słów z za-
a. Ot, zwyczajne, emigranckie złudzenia...

Nie to jednak najważniejsze. Ważniejsze, co słowa te przynosiły. A nie przynosiły one niczego. Jakieś gładkie i zażenowane zdania, jakieś ekskuzy i aluzje, chodzenie słowem w kółko, bardzo pocziwne, bardzo „kochane”, ale jakoś dziwnie bezradne i poprostu puste. Wręcz doczytać tego nie było można do końca i mimo woli złość i żal zbierały w sercu. Więc tyle tylko macie do powiedzenia, mówiąc „do kraju”? Więc nie stać was tam, w bezpiecznym U.S.A. na żadne słowo, któreby zdolne było być słowem i dla nas tu, których życie nie upływa na różach? Tylko namaszczony nieco felieton radiowy? Nic więcej?

Lecz złość szybko minęła, został tylko żal. Żal nie do poety nawet, ani „do nikogo”, tylko do poezji, która znalazłszy się w swym wybitnym przedstawicielu za Oceanem, tak jest bezsilna w tym, co mówi. Taki widocznie przeszła ongiś „trening”, że gdy przyszły czasy o jakich się poezji tej zapewne nie śniło, jaka się teraz i mamroce i gładkim tokiem zdań się zastania, nie mogąc zdobyć na słowo, choćby najprostsze, byleby było współmierne z naszą krwawą zaiste rzeczywistością. Zawodzi ją nawet to, co jest najpierwszą cnotą poezji: wyobraźnia. Gdyby wyobraźnia była z nią, poezją, nie zatrzymałoby się słowo, rzucone przez morza, u drzwi kabiny radiowej. Za sprawą tej przewagi dotrzeć by mogło nawet do nas, na padole płaczu, możeby nawet dojrzeć nas potrafiło wyraźniej, niż my sami zobaczyć siebie możemy. A tak zaświadczyła tylko, że rośnie przedział pomiędzy „duszami na wygnaniu”, a tymi, które żyją i trwają w kraju. Usunąć przedział ten, doprowadzić do całkowitego porozumienia między tymi dwoma „światami”, to będzie pierwsze zadanie i pierwszy obowiązek wolnych już Polaków.

Propaganda kultury

Nigdy nie mieliśmy szczęśliwej ręki do propagandy, lekceważyliśmy ją i uprawialiśmy bardzo kiepsko, jakby od niechcenia. Rezultatem było to, że nawet najprzychylniejszy cudzoziemiec, nawet znający Polskę niewiele wiedział o naszej kulturze, którą jeśli mu prezentowano, to napewno zawsze od najsłabszej strony. Jeszcze sztuki plastyczne, malarstwo i rzeźba, znajdowały dość często nawet sposobność, by przedstawić się zagranicy. Ale pozatym cóż wiedział przeciętny cudzoziemiec o kulturze polskiej? Chopin, i właściwie na tym koniec. Reszta, to były przyczynki. A już prawdziwym kopciuszkim propagandy naszej było piśmiennictwo. Dziesiątkami lat leżały wcale nienajgorsze przekłady polskich dzieł i nikt nie mógł tego dokazać, by pojawiły się one w druku. Żaden z obcych narodów niesłowiańskich nie miał najmniejszego pojęcia o wielkiej poezji polskiej, a dzisiejsi nasi „propagandyści” w krajach anglosaskich srodze pewnie żałują, że za lepszych czasów tak sobie mało to ceniono, czy choćby kilkuset Anglosasów będzie coś wiedziało o kulturze polskiej, czy też nie. Dlatego może uważano nas tam za „zwornik Europy”, jak mówił Napoleon, może doceniano nas jako czynnik polityczny, może nie najgorzej myślano o naszym żołnierzu, ale wszystkiego tego nie umieszczano w odpowiednim krajobrazie kulturalnym, ku wielkiej krzywdzie zarówno naszej polityki, jak żołnierza. Naród, o którego fizjonomii kulturalnej nic nie wiadomo, z konieczności musi być uważany przez inny naród o wyraźnym i znanym obliczu kulturalnym za coś minorum gentium. By przestawać naprawdę jak równy z równymi, trzeba być wspartym o własną kulturę i emanować ją ze siebie. Ale tego nie rozumiano u nas, jak wogóle nie doceniano spraw kultury jako elementu wyznaczającego stosunki między narodami. I tej nieświadomości naszego wysiłku kulturalnego u innych narodów przypisać należy, że patrzono na nas trochę z góry. Bo przecież nawet Paderewski, bóg Ameryki, za kulturę całą stać nie może.

Lepiej więc, że późno jak nigdy zabrano się w czasie wojny do zapoznawania Anglosasów z naszym dorobkiem kulturalnym. Wiemy, że sprawa to niełatwa, wiemy, że np. Rosja łożyła ogromne sumy na to, by Dostojewskiego i Tołstoja, pisarzy, którzy pieniężnej rekomendacji nie potrzebują, wprowadzić na literacki rynek francuski. Nas na takie sumy, szczególnie obecnie, nie stać, natomiast chwila osobliwa wspólnej wojny ogromnie ułatwiać nam powinna to zadanie. Tak się też po części dzieje. Z radością dowiedzieliśmy się więc, że po dwutomowych „Dziejach Malarstwa Polskie-

go" H. Gotliba ukazała się niedawno w Anglii, Romana Sołtyńskiego „Rzut oka na architekturę polską”. Wreszcie więc zrozumiano, że sztuka stanowi równie silny, a może nawet silniejszy środek do pozyskania sobie ludów, niż problematyka polityczna czy gospodarcza. Więcej, czasem zagadnienia te są dla obcych niezrozumiałe, jak długo nie umieści się ich w pewnej atmosferze kulturalnej, czego przykładem jest sprawa naszych kresów wschodnich, tej wylęgarni polskich wielkości.

Prawdziwa to jednak szkoda, iż dotychczas nie zdołano ogłosić po angielsku zarysu dziejów polskiego piśmiennictwa, w szczególności poezji, który mógłby zorientować publiczność anglosaską w tej dziedzinie. Wydany przed dwudziestu laty zarys taki, pióra jednego z anglistów, był zaledwie rodzajem encyklopedii literatury polskiej i napewno dawno już znikł z rynku księgarskiego; nie tłumaczył on zresztą, na czym wielkość poezji naszej i piśmiennictwa polega. A o to właśnie chodziło. Chodziłoby o ukazanie gigantycznych postaci Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego (o którym istnieje angielska monografia), Norwida, Wyspiańskiego, Kasprowicza i tylu innych, o ukazanie jedynej w Europie XIX wieku struktury tego piśmiennictwa, oryginalności jego koncepcji i wielkości jego dzieł, a kto wie, czy nie byłoby to rewelacją

równie wielką, jak ukazanie zachodowi dzieł rosyjskich geniuszów. Naród, o tak aktywnym życiu religijnym, a zarazem o tak świetnym wycuciu krajobrazu i obyczajności, jak anglosasi, potrafiłby zrozumieć Mickiewicza czy Słowackiego, w Krasińskim dojrzałby lepiej niż kiedyindziej wielkiego wizjonera przyszłości, poprzez Roberta Browninga lepiej wczuł się może w Norwida od — Polaków, a tam, gdzie dzieło T. S. Ehota „spotkało się z takim zrozumieniem, zrozumianoby też i Wyspiańskiego. A że wszystkie te indywidualności i dzieła ich tworzą krąg odrębny i mało podobny do tego, co reprezentują Anglosasi, to tylko dodatnia strona sprawy, nie byłoby bowiem w tym celu, wprowadzać do Anglii coś, co jest którąś tam wodą po angielskim kisielu. Tylko wszystko to trzeba by zrobić naprawdę inteligentnie, z podkreśleniem tego, co jest wielkie i oryginalne, z doskonałą znajomością omawianego tematu i z równie dobrą angielskiej psychiki czytelniczej (ale i telnika wyższego typu, nie pożeracza książek z pożyczalni). I miejmy nadzieję, że wreszcie ktoś to zrobi, by raz jeszcze pokazać, że „Polacy nie gęsi” i mają swą kulturę, którą oko prawdziwego znawcy napewno ocenić potrafi. Nawet na czasy powojenne byłoby to rzeczą nie bez znaczenia.

CELEM NASZYM JEST:

wielkość Polski, pomnażanie jej kultury, wartości moralnych
i materialnych, jej wpływu i roli w życiu całego świata.

P II
428

1943